M.B. im. L. W. w Łodzi

W numerze: ANDRZEJ F. GRABSKI **Profesor Tadeusz Manteuffel** ● JERZY KUNCEWICZ **Myśli o nieśmiertelności** ● JAN KOPROWSKI **Złudzenia i fakty** ● ANTONI KASPROWICZ **Romantyk** ● **Milion na widowni** ● **Zewsząd o wszystkim** ● **Nowela kryminalna**

odgłosy

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

4. X. 1970 r.
40 (672)
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

Fot.: W. Parys

Gaudeamus 1970

O sprawach łódzkich wyższych uczelni rozmawiamy z Zofią Włodarczykową — kierownikiem Wydz. Nauki, Oświaty i Kultury Komitetu Łódzkiego PZPR

Rozpoczyna się nowy rok akademicki. Dwudziesty szósty łódzki rok akademicki. Na przestrzeni tych lat zwykło się mawiać, że nasze uczelnie są młode, bo nie mają przedwojennych tradycji, bo są rówieśniczkami Polski Ludowej. Ale przecież 25 lat to spory szmat czasu, to już kawał historii. Przecież pierwsi absolwenci obejmują dziś poważne kierownicze stanowiska naukowe w swych macierzystych uczelniach.

W liczbach pokazać można wszystko efektownie i łatwo: 36 tysięcy absolwentów, 22 tysiące aktualnie studiujących, 3-tysięczna kadra pracowników naukowo-dydaktycznych. To brzmi imponująco i to jest imponujące. Ale cyfry nie pokażą pracy, problemów i praw rządzących tak złożonym, tak skomplikowanym, tak czułym mechanizmem jak wyższa uczelnia.

— Z jakim dorobkiem, z jakimi perspektywami, z jakimi planami przystępują do nowego roku akademickiego wyższe uczelnie Łodzi — z takim pytaniem zwróciliśmy się do ZOFII WŁODARCZYKOWEJ — kierownika Wydziału Nauki, Oświaty i Kultury KŁ PZPR.

— Dorobek naukowy łódzkich uczelni trzeba ocenić wysoko. Osiągnięcia naszych naukowców są powszechnie uznane i cenione, ich prace publikowane w kraju i za granicą, tłumaczone na obce języki. Łódzcy naukowcy są członkami wielu miedzynarodowych towarzystw naukowych, uczestnikami wielu zjazdów krajowych i zagranicznych. Szczycimy się posiadaniem wybitnych naukowców w rzadkich nieraz dziedzinach wiedzy specjalistycznej. Nasze uczelnie prowadzą jedyne w kraju wydziały i kierunki, jak na przykład chemia spożywcza czy włókiennictwo na Politechnice, wydział aktorskó-wokalny w Wyższej Szkole Muzycznej czy Katedra Filmoznawstwa na Uniwersytecie.

W ostatnich latach uczelnie powiększyły też znacznie swój materialny stan posiadania, niemały jest ich dorobek lokalowy. Najwięcej otrzymała Politechnika, dzięki znacznej pomocy innych resortów jak Min. Przemysłu Lekkiego, Chemicznego i Budownictwa. Mniej rozbudował się Uniwersytet, ale i tu przybyły gmachy Wydziału Socjologiczno-Ekonomicznego, Wydziału Biologii. Dla Wydz. Matematyki powstaje budynek dzięki znacznej pomocy władz miejskich.

Ogólnie jednak, sytuacja lokalowa łódzkich uczelni nie jest zadowalająca. Duże potrzeby ma w dalszym ciągu Politechnika, niektóre kierunki Uniwersytetu pracują w bardzo złych warunkach. Nieustanny postęp techniki, szybki rozwój wielu gałęzi nauki, wzrost liczby studentów — sprawiają, że istnieje ciągła potrzeba inwestowania szkolnictwa wyższego. Wysokość sum przeznaczonych na ten cel w najbliższej pięciolatce nie jest jeszcze ostatecznie ustalona, nasze zamierzenia przewidują ponad pół miliarda złotych. Plan ten nie obejmuje inwestycji Akademii

Dalszy ciąg na str. 3

Zburzenie Wieży Babel

Pomimo pogłębiającego się podziału świata obserwujemy zjawisko stałego rozszerzania się międzynarodowych kontaktów. Wzrasta ich rola zarówno w sferze wymiany gospodarczej jak też w obrębie kultury, gdzie doniosła misja zbliżenia między krajami i narodami przypadła literaturom ojczystym: książce. Ludzkość z uporem stara się o przekreślenie konsekwencji wynikających z pomieszania języków na biblijnej Wieży Babel, uważając to za najskuteczniejszy sposób zahamowania procesu dalszego rozbicia świata i podziału ludzi.

W Warszawie rozpoczyna obrady drugi już w historii naszego kraju międzynarodowy zjazd tłumaczy literatury polskiej. Wydarzenia na Wieży Babel szczególnie dotknęły nas, Polaków, jeśli się zważy, że na świecie zna nasz język mniej niż 2 proc. ludzi i nie wystarczy pocieszać się, że są przecież jeszcze mniej liczne kraje. Nasza epoka zna o wiele lepsze rozwiązania, pośród których tłumaczenia uważa się za najlepsze. Stąd też wzrost znaczenia tłumacza i sztuki przekładu, który obserwujemy w ostatnich czasach. Nie jest też przypadkiem, że po wojnie, książki pisarzy polskich ukazały się w pięćdziesięciu blisko krajach świata, a liczba języków na jakie zostały przełożone jest jeszcze wyższa.

Ambasadorowie naszego języka za granicą, u nas w kraju pozostają najczęściej nieznani. Rozpoczynający obrady w Warszawie zjazd tłumaczy to dobra okazja, żeby przypomnieć przynajmniej niektóre nazwiska najbardziej zasłużonych, takich choćby jak wypróbowany przyjaciel Polski Karl Dedecius z NRF, Józef Osmanis z Łotwy, Kazuo Yonekawa z Japonii, Jan Pilar z Czechosłowacji czy Walerian Arcimowicz z ZSRR. Przecież to dzięki ich osobistej pasji literatura polska nie jest już na świecie nieznaną, jest coraz lepiej poznawana i uzyskuje należną jej rangę.

Na przestrzeni ostatnich miesięcy publikowaliśmy na łamach „Odgłosów" cykl pod nazwą „Kultura polska w świecie", w którym, jak sądzimy, udało nam się przedstawić sporą cząstkę dorobku naszej kultury, w tym także udział tłumaczeń polskich książek na języki obce. Obecnie, w związku z obradami zjazdu tłumaczy, rozpoczynamy nowy cykl: „Literatura na świecie", w którym poinformujemy czytelników o nowych, najwybitniejszych książkach literatury światowej. Jest coś optymistycznego w fakcie, że spora część tych książek została już przełożona w Polsce co dowodzi, że mamy własne zasługi w podkopywaniu fundamentów niewzruszonej Wieży Babel.

Uczestnikom zjazdu tłumaczy w Warszawie życzymy owocnych obrad.

ŚWIATA

Wątpliwości i dyskusje, jakie w Stanach Zjednoczonych, wzbudzał amerykański program lotów na Księżyc, realizowany z narażeniem ludzkiego życia, ożyły na nowo po wspaniałym sukcesie nauki radzieckiej. Oto automatyczny, bezzałogowy pojazd osiąga z łatwością cel lotu, nawierca księżycową glebę, jej próbki lokuje w hermetycznych pojemnikach, a następnie lekko ląduje na Ziemi. Lot stacji kosmicznej — „Łuna-16" — to nie tylko doniosłe osiągnięcie radzieckiej myśli naukowo-technicznej, to zarazem pośrednie zaprzeczenie celowości drogi, jaką w programie księżycowym poszli Amerykanie. Ileż na ten temat znalazło się ostatnio komentarzy w zachodniej prasie, ileż jednocześnie wyrażono podziwu dla precyzji sterowania automatem, którego działania nikt przecież nie mógł korygować z pokładu pojazdu. Kierownik NASA — dr George M. Low wyraził się nawet o tym locie jako o przykładzie ewidentnej przewagi ZSRR w dziedzinie badania planet. Lądowanie i powrót stacji automatycznych będzie można podejmować również wobec innych planet, bez ceny strachu, jaka towarzyszyła lotom realizowanym zgodnie z programem „Apollo".

Tenże sam Low przyznał przy okazji, że opracowując program „Apollo" specjaliści amerykańscy traktowali badania naukowe jako „drugorzędny cel", przede wszystkim zaś chcieli zademonstrować „potencjał kosmiczny USA". Tak to wyszło przysłowiowe szydło z worka...

Dość jednak o kosmosie, kiedy tyle ważnych wydarzeń na Ziemi. Zacznijmy od europejskiej podróży Nixona, która w niedzielę rozpoczęła się od wizyty w Rzymie i Watykanie, a której następne etapy to: VI flota na Morzu Śródziemnym, Belgrad, Madryt, Londyn i Dublin. Zwróćmy uwagę na dwa znamienne momenty: brak na trasie podróży Paryża i Bonn oraz rozpoczęcie wizyty od Rzymu.

— Nixon zapoczątkował swą podróż od Włoch — podkreślają obserwatorzy — ponieważ chciał dokonać demonstracji siły na Morzu Śródziemnym i w ten sposób okazać Związkowi Radzieckiemu, jak również krajom arabskim, że obecność amerykańska w tym rejonie świata nie będzie zmniejszona. Chciał także uwypuklić, jakie znaczenie dla strategii NATO mają Włochy, w których — w związku z układem moskiewskim i perspektywą normalizacji stosunków NRF ze Wschodem — silnie zarysowała się tendencja do poprawy i rozszerzenia stosunków z krajami socjalistycznymi. Włochy, oczywiście, nie mogły nie przyjąć prezydenta, jednak nie są tą wizytą zachwycone. Rzym nie dostrzega bowiem żadnych korzyści, jakie z rozmów z Nixonem mogłyby dla niego wyniknąć. Tym bardziej, że od kilku już miesięcy dyplomacja rzymska zmierza do poprawy stosunków ze światem arabskim, powoli dystansując się od polityki Izraela, podczas gdy ta wizyta — w swym zamierzeniu — miała być pogróżką pod adresem Arabów.

Dlaczego zaś trasa podróży nie prowadzi przez Paryż i Bonn? W pierwszym przypadku dlatego, że stolica Francji grzecznie dała do zrozumienia, iż po niedawnej wizycie Pompidou w Stanach Zjednoczonych nie byłoby to celowe, w drugim zaś — z braku zainteresowania Nixona rozmowami z przywódcami NRF. Jak łatwo się domyślić, ten ostatni fakt komentowany jest w ścisłym związku z polityką wschodnią Bonn — układem z ZSRR i ewentualnym układem z Polską.

W sumie więc znamienna to podróż. Jej znaczenie będzie można jednak oceniać w pełni dopiero po 5 października, po jej ostatnim, dublińskim etapie.

Jak już pisaliśmy na tym miejscu, na początku października odbędzie się kolejna runda rozmów między Polską a NRF, po której (w miesiąc później) min. Scheel ma przybyć do Warszawy w celu kontynuowania rozmów. W związku z tym zauważmy, że w Nowym Jorku doszło do spotkania wicemin. Winiewicza, który bierze udział w pracach XXV sesji ONZ z min. Scheelem, a wymiana poglądów dotyczyła całokształtu sytuacji europejskiej, w tym oczywiście — problemów bezpośrednio interesujących oba państwa.

Tamże, choć nie pozostaje to w związku z tą rozmową minister spraw zagranicznych NRF spotkał się z dziennikarzami. Wśród innych zadano mu pytania, odnoszące się do stanowiska rządu koalicyjnego wobec granicy na Odrze i Nysie. W odpowiedzi Scheel stwierdził, że jego rząd uznaje prawo Polski do życia w bezpiecznych granicach oraz linię Odra-Nysa za zachodnią granicę Polski. Gdyby jednakkiedykolwiek zwołana została konferencja pokojowa na temat Niemiec — powiedział — granica ta musiałaby znaleźć potwierdzenie.

Wypowiedź ta zasługuje na odnotowanie, ponieważ przed VI turą rozmów jest pewnym wykładnikiem aktualnego stanowiska Bonn. Można w niej zwrócić uwagę na kilka elementów, na pewno jednak znamienne jest powątpiewanie co do możliwości zwołania konferencji pokojowej na temat Niemiec. Jest to po prostu kolejny przejaw realizmu, albowiem szans zwołania takiej konferencji, o czym mówiliśmy niejednokrotnie, rzeczywiście nie ma. Przypomnijmy, że poprzednie rządy NRF wciąż sprawę granicy odnosiły do iluzorycznego traktatu pokojowego.

Dalsze rozmowy Polska — NRF, które odbędą się w Bonn, pierwsze po układzie moskiewskim, budzą, rzecz jasna, duże zainteresowanie.

W. SŁAWSKI

● Zewsząd o wszystkim ● Zewsząd o wszystkim ●

Amerykanki żądają równouprawnienia

„US NEWS AND WORLD REPORT" — WASZYNGTON

Jeśli was interesuje, dlaczego tak wiele Amerykanek narzeka na dyskryminację, rzućcie okiem na jakąkolwiek listę płacy, a zobaczycie, że najwyższe stanowiska i największe zarobki są przywilejem mężczyzn. Do czego zmierza „ruch na rzecz równouprawnienia kobiet", o którym tak głośno teraz w całych Stanach? Czego żądają kobiety?

Równości! Oto krótka odpowiedź. Kobiety krzywdzi się w fabrykach, w instytucjach państwowych i prywatnych przedsiębiorstwach. Wszędzie są na szarym końcu, wszędzie mniej zarabiają od mężczyzn i mają minimalne szanse na awans.

Średnie zarobki mężczyzn są rzeczywiście wyższe, a rozpiętość między płacami kobiet i mężczyzn zwiększa się z roku na rok. Na przykład w roku 1955 Amerykanki, zatrudnione w wymiarze pełnego dnia roboczego, zarabiały średnio 63,90 dolara, podczas gdy mężczyźni — 100 dolarów. W roku 1960 średnia wynagrodzenia kobiet spadła do 58, 20 dolara.

Z opublikowanych ostatnio danych statystycznych wynika, iż przyczyn tej rozpiętości w płacach należy szukać w charakterze zajęć, które kobiety najczęściej wykonują. Oto przeszło 64 procent z 29 i pół miliona aktualnie zatrudnionych Amerykanek, pracuje w charakterze urzędniczek, ekspedientek i pracownic w sieci usługowej, względnie w charakterze pomocy domowych. Są to zajęcia stosunkowo nisko płatne.

Prowadząc energiczną kampanię przeciwko zakorzenionym poglądom, iż „udziałem kobiet" jest praca niskopłatna, a przywilejem mężczyzn" — wysokopłatna, ruch kobiecy żąda opracowania ustawy federalnej, która by wreszcie położyła kres dyskryminacji Amerykanek.

Tymczasem Amerykańskie Stowarzyszenie Urzędników stwierdza, iż 47 procent kompanii handlowych w USA, zamieszcza w prasie anonse o poszukiwaniu pracowników, na osobnym miejscu dla mężczyzn i na osobnym dla kobiet. Według oficjalnych danych, nawet wysoki stopień naukowy nie gwarantuje kobiecie średniej pensji, równej uposażeniu mężczyzny o takich samych kwalifikacjach naukowych. Warto wspomnieć, iż bezrobotnych kobiet jest blisko dwa razy więcej, niż bezrobotnych mężczyzn.

Tylko nielicznym Amerykankom udało się zdobyć kwalifikacje. Na przykład wśród sędziów federalnych, mianowanych przez prezydenta, jest zaledwie 1 procent kobiet. Również 1 procent kobiet pracuje w zawodzie inżynierskim, 3 procent w zawodzie prawniczym, 7 procent w lekarskim, a „aż" 9 procent kobiet w USA zdobyło wysoką rangę naukowca. Nawet w tak sfeminizowanym zawodzie jak szkolnictwo średnie, pracuje ich zaledwie 19 procent.

W amerykańskim społeczeństwie pokutuje szeroko rozpowszechnione mniemanie, iż Amerykanka rzuca pracę natychmiast po wyjściu za mąż. To nieprawda, bowiem 60 procent kobiecej siły roboczej stanowią zamężne Amerykanki, a niemal połowa z tej liczby ma dzieci.

Walka kobiet przeciwko dyskryminacji ekonomicznej w USA zatacza coraz szersze kręgi. Specjalna komisja prezydencka była nawet zmuszona przygotować raport o położeniu i prawach kobiet pracujących, który jednak okazał się tak dalece drażliwy, iż Biały Dom nie wyraził zgody na jego publikację.

Spór o Okinawę

„TIMES" — LONDYN

Po opublikowaniu w Waszyngtonie tajnego raportu, który przedstawiono w senackiej komisji spraw zagranicznych już w styczniu tego roku, Okinawa — kluczowa amerykańska baza wojskowa na Oceanie Spokojnym — znów zajęła czołowe miejsce w tokijskich gazetach. Głównym referentem tego raportu był Alexis Johnson, były ambasador USA w Japonii, a obecnie zastępca sekretarza stanu d/s politycznych.

Przedstawiciele partii opozycyjnych w parlamencie japońskim, ostatnio nieco uspokojeni zbliżającym się terminem rozwiązania problemu Okinawy, skorzystali ze sposobności, aby znów zaostrzyć krytykę polityki rządu. Wspomniany raport jest dla nich jeszcze jednym argumentem na potwierdzenie sądu, że między Ameryką a Japonią istnieją poważne różnice w interpretacji warunków, na jakich zawarto porozumienie o powrocie Okinawy do Japonii w roku 1972.

Japończycy sądzili, że ustalona przez strony data zwrotu wyspy jest ostateczna. Natomiast Amerykanie uważają rok 1972 za termin przybliżony, zależny od „wielu okoliczności", a nie za datę konkretną. Rząd japoński wprowadzony w błąd takim stanowiskiem Amerykanów, uparcie trzyma się danych mu zobowiązań. Utrzymuje on, iż między Japonią i Stanami Zjednoczonymi nie zawarto „tajnych umów w sprawie Okinawy" i że wszystkie sformułowania dotyczące problemów wyspy zostały ujęte we wspólnym komunikacie japońsko - amerykańskim, opublikowanym w Waszyngtonie, w listopadzie ub. roku.

Zgodnie z porozumieniem waszyngtońskim, Okinawa — jak to rozumiano w Tokio — powraca do Japonii w roku 1972, wolna od jakiejkolwiek broni jądrowej. 120 baz amerykańskich, znajdujących się na wyspie podlega identycznym rygorom, jakie obowiązują bazy amerykańskie, stacjonujące na suwerennym terytorium Japonii. Główny punkt tych ograniczeń nie pozwala Amerykanom na wykorzystywanie baz do operacji o charakterze wojennym oraz zabrania im zasadniczej zmiany wojskowego wyposażenia baz „bez uprzednich konsultacji z rządem Japonii". Społeczeństwo japońskie niepokoją przede wszystkim dwie sprawy. Po pierwsze z raportu Johnsona wynika jasno — wg interpretacji Waszyngtonu — że Japonia zgodzi się na rozmieszczenie broni jądrowej na Okinawie, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba. To z kolei naraża kraj na grozę uderzenia odwetowego. Po drugie — jest więcej niż pewne, że Ameryka nie będą wykorzystywać Okinawę jako bazę dla bombowców B-52 również po roku 1972. Jest to sprawa szczególnie drażliwa.

Bombowce B-52 wykorzystywały już Okinawę jako bazę, z której dokonywano nalotów na cele w Wietnamie, Laosie i później w Kambodży w pierwszych miesiącach 1969 roku. Owe loty bojowe, utrzymywane początkowo w głębokiej tajemnicy, obecnie, jak się wydaje, jeśli wierzyć słowom dowództwa wojskowego w Sajgonie — zostały zaniechane. Z drugiej strony opierając się na doniesieniach z tych samych źródeł — stało się dziś jasne, iż bombowce B-52 pozostaną na Okinawie nawet wówczas, gdy przestanie się ich używać do operacji bojowych na kontynencie. Natomiast B-52 biorące udział w nalotach powietrznych będą miały swe bazy w Syjamie i na wyspie Guam.

Program bez programu

„ECONOMIST" — LONDYN

Angielski sztuczny satelita Ziemi jest bardzo mały, podobnie zresztą jak i sama rakieta nośna „Black Ariel". Gdyby ją już jednak wystrzelono, ministerstwo techniki mogłoby mówić o Wielkiej Brytanii, jako o szóstym kraju świata, posiadającym własną technikę rakietowo - kosmiczną. (Po ZSRR, USA, Francji, Japonii i Chinach").

Anglię można porównać tylko z Japonią, gdzie na koszt państwa trzydziestu uczonych pracuje nad konstrukcją, budową oraz techniką wystrzeliwania rakiet kosmicznych. Są to koszta równe w przybliżeniu jednorocznym wydatkom Anglii na program „Black Ariel" (około 3 i pół miliona funtów szterlingów). Obecnie planuje się zwiększenie brytyjskich wydatków na ten cel do wysokości 5 milionów funtów szterlingów rocznie. Jednakże rakieta „Black Ariel" jest zdolna do wprowadzenia na orbitę tylko bardzo małych sputników. I to już jest właściwie wszystko, na co stać nasz kraj w zakresie penetracji kosmosu, kraj, którego wartość ogólnonarodowej produkcji przemysłowej sięga 40 miliardów funtów szterlingów rocznie!

Program „Black Ariel" zdezaktualizował się pod wieloma względami. Przede wszystkim opracowywano go w czasie, gdy stało się już jasne, że europejski zjednoczony program kosmiczny w ramach ELDO (Europejska Organizacja Rozwoju Rakiet Nośnych — red.), którego głównym inicjatorem była właśnie Anglia, nie będzie wykonany.

Ponadto program europejski od samego początku obrał złą drogę, decydując, iż każdy kraj — członek ELDO odpowiada wyłącznie za swój odcinek programu: Anglia — za przygotowanie pierwszego członu rakiety, Francja — drugiego, NRF — trzeciego, a Włochy i Holandia za skonstruowanie samego sputnika i wyposażenie go w odpowiednią aparaturę elektroniczną. W wielu wypadkach poszczególne człony rakiety konstruowano bez konsultacji technicznych na bieżąco. Obok tego nader często ujawniały się różnice zdań na temat udziału poszczególnych państw w ogólnych kosztach budowy rakiety.

Z powodu braku centralnej koordynacji prac, konstrukcja rakiety okazała się błędna, a wydatki na jej budowę niepomiernie duże. W konsekwencji, rakieta „Europa", zbudowana w tak dziwaczny sposób, nie mogła wynieść sputnika na orbitę. Warto nadmienić, że na przestrzeni ostatnich sześciu lat ów sławetny program kosztował Anglię od 9 do 16 milionów funtów szterlingów rocznie.

Francja i NRF wciąż jeszcze marzą o wspólnym wystrzeleniu satelity. Anglia zrezygnowała z tego projektu, inne kraje uznały go za niecelowy. Anglię pociąga natomiast propozycja USA — wzięcie udziału w amerykańskim programie kosmicznym. Wyraża się opinię, iż inwestując w ten program 12 milionów funtów szterlingów rocznie, tj. dwa razy więcej, niż kosztowałby własny program „Black Ariel", możemy utorować sobie drogę do udziału w wielkim biznesie kosmicznym. Nie trzeba wyjaśniać, jak wiele skorzysta na tym nasz przemysł, któremu dotąd nic nie dały nasze zabawkowe rakiety typu „Black Ariel". Władze NRF uważają widać program amerykański za tak dalece atrakcyjny, iż gotowe są w nim partycypować, wnosząc kapitał w wysokości 50 milionów funtów szterlingów rocznie.

Niestety, ów wybuch entuzjazmu w niektórych krajach zachodnich zbiegł się z momentem, kiedy amerykański program kosmiczny stanął w obliczu poważnych trudności. W USA zredukowano wydatki na program, zarzuca się mu brak wyraźnie sprecyzowanego celu doświadczeń i w dodatku chodzą słuchy o dalszych ostrych cięciach w zakresie „kosmicznych" inwestycji.

● Zewsząd o wszystkim ● Zewsząd o wszystkim ●

Dalszy ciąg ze str. 1

Medycznej i szpitala klinicznego, którego budowa nie będzie chyba zrealizowana w tej pięciolatce. W tej trudnej sytuacji bardzo skuteczna jest pomoc miasta, które przydziela uczelniom zwalniające się gmachy. Tak na przykład Uniwersytet ma otrzymać duży budynek szkolny przy ul. Kościuszki 65.

W 1971 roku rozpoczęty zostanie trzyletni cykl budowy gmachu Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Istnieje też pilna potrzeba budowy studia telewizyjnego dla PWSTiF, bez którego nie można sobie wyobrazić pracy nowego, telewizyjnego wydziału tej uczelni.

— Czy można powiedzieć, że nasze wyższe uczelnie są powiązane z miastem, że uczestniczą w jego rozwoju, przyczyniają się do jego osiągnięć?

— Ubiegły rok akademicki można nazwać rokiem konfrontacji planów naukowych z potrzebami miasta i kraju. Uczelnie przeprowadziły szereg konsultacji mających na celu ściślejsze niż dotychczas powiązanie pracy poszczególnych katedr z żywotnymi potrzebami miasta. Innymi słowy — próby podniesienia planów naukowych na wyższy poziom były ściśle związane z dostosowaniem ich do praktycznych potrzeb kraju i miasta.

Warto też podkreślić, że naukowe plany katedr łódzkich uczelni są często włączane do ogólnopolskiego planu badań naukowych PAN. To świadczy o ich randze. Dla przykładu można tu wymienić plany katedry organizacji pracy Wydz. Socjologiczno-Ekonomicznego UŁ, czy katedr Wydz. Chemii Spożywczej PŁ oraz wielu innych.

— Naszą redakcję, jako pismo o profilu społeczno-kulturalnym interesuje szczególnie Uniwersytet Łódzki. Czy jest to uczelnia naprawdę łódzka, czy jej 25-letnia działalność wniosła jakiś trwały dorobek do łódzkiej myśli humanistycznej, do historii łódzkiej kultury?

— Nasz Uniwersytet naprawdę jest, i staje się coraz bardziej łódzki. Również ta uczelnia przeprowadziła w ubiegłym roku szczegółową analizę planów naukowych katedr pod kątem dostosowania ich do potrzeb miasta, choć w dziedzinie myśli teoretycznej jest to znacznie trudniejsze niż w gałęziach wiedzy praktycznej. Podjęto nowe tematy, bezpośrednio związane z terenem Łodzi.

Naukowcy Uniwersytetu wnieśli trwały dorobek do historii kultury miasta, dorobek wykraczający daleko poza lokalne znaczenie tych prac. Wymienię tu przykładowo pracę Heleny Karwackiej o Wandurskim czy prace socjologiczne prof. Antoniny Kłoskowskiej. Duży jest udział naszych historyków w inicjowanych przez związki zawodowe pracach z dziedziny historii klasy robotniczej. Znów przykładowo wymienię tu H. i Wł. Karwackich czy B. Wachowską. I jeszcze z innej dziedziny

Gaudeamus 1970

— prace prof. B. Lewickiego o kulturze filmowej, podnoszące rangę naszego miasta jako polskiego centrum filmowego.

Uniwersytet kształci kadrę naukową nie tylko dla swoich wewnętrznych potrzeb, również dla wielu instytutów, a także szkół. Po zlikwidowaniu Studium Nauczycielskiego Uniwersytet przeprowadzić musiał analizę studiów pod kątem wymogów kształcenia pedagogów dla Łodzi i okręgu.

W sumie można chyba powiedzieć śmiało, że łódzcy naukowcy, nie zapominając, iż na całokształt kultury narodu składają się odcinki regionalne tej kultury, poprzez swe prace żywo uczestniczą w tworzeniu nowego kształtu kultury polskiej.

Mimo jednak tych osiągnięć, wydaje mi się, że ciągle odczuwamy niedosyt opracowań z dziedziny najnowszej historii. Dawniej historia były wydarzenia co najmiej sprzed 50 lat. Dziś niepomiernie wzrosło tempo życia, przyspieszył się bieg wydarzeń. Nieustająca rewolucja techniczna, szybki postęp nauki, bieg wydarzeń społecznych i politycznych — to wszystko sprawia, że historią mogą być już fakty sprzed dziesięciu lat. I właśnie w dziedzinie tej najnowszej, „współczesnej" historii istnieje niedosyt, brak jest poważniejszych opracowań, brak spojrzenia historyka.

— Mamy w Łodzi trzy wyższe szkoły artystyczne. Jaki jest ich udział w życiu miasta, w tworzeniu jego kultury?

— Uczelnie te reprezentują wysoki poziom artystyczny. Szkoła muzyczna wydała wielu znakomitych absolwentów, znanych dziś nie tylko w kraju lecz i w świecie instrumentalistów i wokalistów Dowodem zaufania i uznania dla tej uczelni jest powierzenie jej jedynego w kraju, w pewnym sensie eksperymentalnego wydziału wokalno-aktorskiego. Szkoła plastyczna, wywodząca się ze szczytnych tradycji Strzemińskiego, nigdy nie rezygnując z ambicji kształcenia artystów czystej sztuki, jako pierwsza w kraju przystosowała kierunek studiów do potrzeb przemysłowej Łodzi. Dziś jest jedyną uczelnią w kraju, wychowującą artystów-projektantów dla przemysłu włókienniczego i odzieżowego.

— Czy dość gruntowna reorganizacja PWSTiF przyniosła jakieś istotne zmiany na tej uczelni?

— Najistotniejsze zmiany dotyczą dziedziny programu studiów. Po bardzo burzliwej dyskusji, która miała miejsce w ubiegłym roku program ten, jak się wydaje, jest zgodny z postulatami i potrzebami społecznymi. Przybył uczelni 3-letni, na razie zaoczny, wydział telewizyjny, reorganizacji uległy wszystkie wydziały szkoły. Większe niż dawniej znaczenie przywiązywać się będzie w toku studiów do dziedziny filmu krótkiego — dokumentu i animowanego. Ale przede wszystkim główny nacisk jest kładziony na zagadnienia artystyczno-ideowe, na ideową wymowę treści przekazywanych w pracach studentów. Istnieją dalsze projekty zmian, a może raczej uzupełnień programu, na przykład włączenie do programu dziedziny scenariuszowej, ale to już dalsza przyszłość.

Jeśli uda się zbudować dla szkoły nowe studio filmowo-telewizyjne — będzie to wreszcie uczelnia z prawdziwego zdarzenia. Myślę, że można z jej odrodzeniem wiązać duże nadzieje — a to jest przecież przyszłość naszego filmu. Od ludzi, którzy opuszczą mury uczelni, zależeć będzie wartość dzieł polskiej kinematografii.

— Ubiegły rok akademicki był rokiem reformy strukturalnej na wyższych uczelniach. Jakie dała ona efekty?

— Był to właściwie pierwszy etap reformy, w tym roku uczelnie wkraczają w drugi. Pierwsza reforma dała władzom uczelni znacznie większe prerogatywy, możliwość szybszego, sprawniejszego niż do tej pory, rozstrzygania wielu spraw. Nie umniejszając znaczenia ciał kolegialnych jak senat czy rada naukowa, złożyła jednocześnie na barki rektora i dziekanów dużo większą odpowiedzialność za sprawne zarządzanie uczelnią. I w tym sensie spełniła pokładane nadzieje.

W tym roku uczelnie wkraczają w drugi etap reformy strukturalnej. Obejmuje ona już sferę zagadnień naukowych, merytorycznych, zmieniając cały system form organizacyjnych, panujących na uczelniach od dziesiątków lat. Celem tej reformy jest łączenie małych komórek naukowych w większe. A więc katedr w instytuty. Przy obecnym szybkim rozwoju nauki jest to konieczność życiowa. Rozdrabnianie kadry naukowej i środków na prace w małych, nie skoordynowanych z sobą katedrach, przynosi poważne straty naukowe i dydaktyczne. System instytutów komasujących katedry daje szansę lepszego wykorzystania wysoko kwalifikowanej kadry naukowej, a także lepszego kształcenia młodzieży. Jest to eksperyment, gdyż poza Wrocławiem żaden ośrodek akademicki nie ma jeszcze doświadczeń w tej dziedzinie. Niemniej Politechnika idzie w tym eksperymencie jeszcze dalej — jako jedna z dwóch uczelni w kraju — organizując system instytutów bez zakładów naukowych.

Na wyniki tego eksperymentu trzeba poczekać i nie należy się spodziewać, że obejdzie się bez trudności i przeszkód. Ale ta zmiana struktury powinna w efekcie przynieść szybki skok w osiągnięciach naukowych i usprawnieniu toku studiów.

— I ostatnie pytanie. Reforma studiów obejmowała również cały kompleks zagadnień związanych z ideowym wychowaniem młodzieży. Czy i na tym odcinku przyniosła widoczne rezultaty?

— Motywem przewodnim wszelkiej działalności uczelni jest kształtowanie postawy moralno-ideowej studentów. Wydaje mi się, że efekty tej działalności są zależne w pierwszym rzędzie od postawy i zaangażowania się w sprawy ideowe wychowawców — pracowników naukowych. Zależnie od tego jak oni ustosunkują się do problemów współczesności i nauki — kształtować się będzie pogląd na świat, oblicze ideowe, stosunek do nauki i przyszłej pracy studentów. Na naszych uczelniach obserwujemy w ostatnich latach poważne na ogół traktowanie tych problemów przez kadrę naukową, przykładanie wagi do postaw ideowych młodzieży, spraw samorządności, pracy organizacji studenckich na terenie uczelni. Te zasady są przestrzegane nie tylko formalnie lecz i w praktycznym działaniu. A łódzka młodzież na pewno nie jest zła, jest poważna i wartościowa. Trzeba jej tylko pomóc w rozróżnianiu plew od ziarna, dobra od zła.

— Dziękujemy za rozmowę, a wielotysięcznej rzeszy młodzieży akademickiej, wszystkim jej pedagogom i wychowawcom życzymy sukcesów w nowym roku akademickim.

Rozmawiała:

TERESA WOJCIECHOWSKA

W najbliższym numerze „ODGŁOSÓW":

- ★ STEFAN HRABEC — Ludzie wśród ludzi
- ★ MAREK WAWRZKIEWICZ — Zakochać się w Leningradzie
- ★ MARIAN PIECHAL — Kwiaty zła i dobra
- ★ ANDRZEJ GRUN — Zabytkom na pomoc

oraz:

felietony, recenzje, ciekawostki, nowela kryminalna, konkurs architektoniczny.

JAN KOPROWSKI

Złudzenia i fakty

Jeśli powiem, że wyjazdy w Polskę na spotkania autorskie wprawiają mnie w stan pewnej pokory, to nie będzie w tym ani kokieterii, ani przesady. Człowiekowi, który wydał dwadzieścia książek, pisuje w prasie literackiej i codziennej i od czasu do czasu zabiera głos w telewizji, wydaje się w chwilach wzmożonego poczucia miłości własnej (a któż na nią nie cierpi?), że ludzie go znają, czytają i podziwiają. Oczywiście mowa o tych ludziach, którzy z racji swej pracy zawodowej parają się sprawami czytelnictwa na co dzień a więc nauczyciele, bibliotekarze, kierownicy świetlic itp.

Tymczasem jakże często okazuje się, że książek twoich w ogóle nie czytali, o tobie nigdy nie słyszeli i nazwisko twoje jest im całkowicie nie znane. Zapewniają wprawdzie, że od tej pory to już zawsze i — tak dalej, ale ciebie to nie cieszy i bynajmniej nie uspokaja. Nigdy nie zapomnę pewnego przeżycia nad morzem. Przebywałem w domu wczasowym na turnusie, który administracja nazywała dyrektorskim, albowiem było tam sporo dyrektorów fabryk, urzędników i innych oświeconych osób. Pogoda była pod psem, nikt się nie kąpał i tylko wystawaliśmy nad brzegiem morza, patrząc na skotłowaną o stalowym kolorze powierzchnię wody. Któregoś dnia oczom naszym ukazał się człowiek płynący w odległości 50 metrów od miejsca, w którym staliśmy. Ogólne zainteresowanie i podziw. Wytężam wzrok, przyglądam się i jak nie krzyknę: Ależ to Władysław Broniewski! A na to stojący obok mnie dyrektor jakiegoś zjednoczenia: — Panie, a kto to taki?

Opowiadał mi kiedyś Marian Turwid, pisarz i plastyk, mieszkający stale w Bydgoszczy, o swej przygodzie 2 sierpnia 1926 roku. W dniu tym, jak wiadomo, zmarł Jan Kasprowicz. Turwid, przebywający wtedy bodaj w Gnieźnie, bardzo się przejął zgonem wybitnego poety i tłumacza z zakopiańskiej Harendy. Każdą rozmowę rozpoczynał od tej wiadomości, usłyszanej rankiem przez radio. I otóż spotkał w Gnieźnie jakiegoś znajomego, z którym nie widzieli się lata.

— Czy pan wie — zawołał w uniesieniu — że dziś rano zmarł Kasprowicz?

Znajomy zrobił wielkie oczy.

— Kasprowicz, rozumie pan?

Po chwili znajomy odezwał się w te słowa:

— Szkoda człowieka, robił bardzo dobre wódki.

Znajomy, pomyślał, oczywiście, o wielkopolskim producencie alkoholu — B. Kasprowiczu. O poecie nigdy zapewne nie słyszał.

Autorem, który staje przed publicznością, miotają dwa sprzeczne uczucia: radości i obawy, zaciekawienia i niechęci. Lęk bierze się stąd, że audytorium jest nieznane i pisarz wcale nie wie, czy okaże mu ono życzliwość czy też całkowitą obojętność. Zdarza się przecież nierzadko, że ludzie wprawdzie na spotkanie z pisarzem przyjdą, ale do końca spotkania są „nieprzemakalni". Słuchają go, nie reagując i nie objawiając zainteresowania, a w czasie przeznaczonym na dyskusję, milczą jak zaklęci. W ogóle spotkanie literackie, które nie zakończy się rozmową z uczestnikami, uważam z reguły za nieudane i najczęściej za swoją osobistą klęskę, nawet wtedy, jeśli rozmowa nie powiodła się nie z mojej winy.

Uczucie radości i zaciekawienia, z jakim autor jedzie na spotkanie, ma swoje źródło w tym, iż ma on nadzieję, że dowie się czegoś nowego od ludzi o ich czytelniczych gustach, o ich poglądach na literaturę współczesną czy choćby tylko na jego własną produkcję literacką. Spotkania, które dają satysfakcję obydwu „stronom", należą raczej do rzadkości. Bywa, że zadowoleni są słuchacze, lecz niedosyt odczuwa autor. I na odwrót: pisarzowi się wydaje, że zrobił wszystko jak najlepiej, a tymczasem publiczność wyszła ze spotkania rozczarowana.

Doświadczenia, jakie wyniosłem i wynoszę wciąż z wojaży autorskich, pouczają mnie (a zapewne i moich kolegów także) o kilku prostych prawdach. Po pierwsze: słuchacze nie lubią, jeśli autor stwarza dystans między sobą a nimi czyli mówiąc słowami pewnego korespondenta „jeśli autor jest nabzdyczony." Po drugie: uczestnicy bywają z zasady niezadowoleni, jeśli pisarz się „oszczędza" to znaczy jeśli na pytania odpowiada nazbyt lakonicznie. Po trzecie: publiczność czuje się zawiedziona, jeśli pisarz stosuje tzw. uniki. I wreszcie: słuchacze pragną, aby pisarz mówił szczerze to, co myśli, i we własnym imieniu.

Są to niby rzeczy znane i proste, ale nie tak znowu łatwe do spełnienia. Zależy to przecież w niemałej mierze od cech osobowych pisarza, od jego zaradności oratorskiej, od bezpośredniości i umiejętności nawiązywania kontaktu z ludźmi. Pojechałem kiedyś na spotkanie do Torunia. Słuchaczami moimi była młodzież uniwersytecka. W dyskusji, która nie bardzo się kleiła, rzuciłem w pewnej chwili pytanie: a kto tu był przede mną? Wymieniono nazwisko bardzo znanej autorki. Czy byliście zadowoleni? Nie — odezwał się ktoś z końca sali. A dlaczego? Bo ta pani zachowała się ironicznie, wydawało nam się, że nie traktuje nas poważnie. Poprosiłem o przykłady. A więc, na pytanie, co myśli o jakiejś tam kwestii, odpowiedziała: Ja? nic nie myślę. Na pytanie, co pisze, odpowiedziała: Powieść o okupacji, jak wiadomo jestem zapóźniona w rozwoju. Muszę wyznać, iż mnie te wypowiedzi pisarki bardzo się podobały i nie widziałbym w nich nic obraźliwego dla słuchaczy. Ale moje zdanie niewiele tu waży. Ważne, co myślą o tym ludzie, do których pisarz przyjechał, aby opowiedzieć im o literaturze i swojej pracy.

Instytucja spotkań literackich, bardzo w naszym kraju rozwinięta, ostatnimi czasy jakby trochę podupadła. Z czyjej winy: autorów, organizatorów czy słuchaczy? Częściowo z winy samych pisarzy, częściowo z winy słuchaczy, ale najbardziej z winy organizatorów. Talenty organizacyjne nie są — jak powszechnie wiadomo — najsilniejszą stroną Polaków. Tych niedomagań organizacyjnych jest tedy najwięcej. Ale o nich już kiedyś pisałem i nie chcę się powtarzać. Wkroczyliśmy w nowy rok kulturalno-oświatowy i może warto by pomyśleć i popracować nad skuteczniejszą organizacją spotkań autorskich.

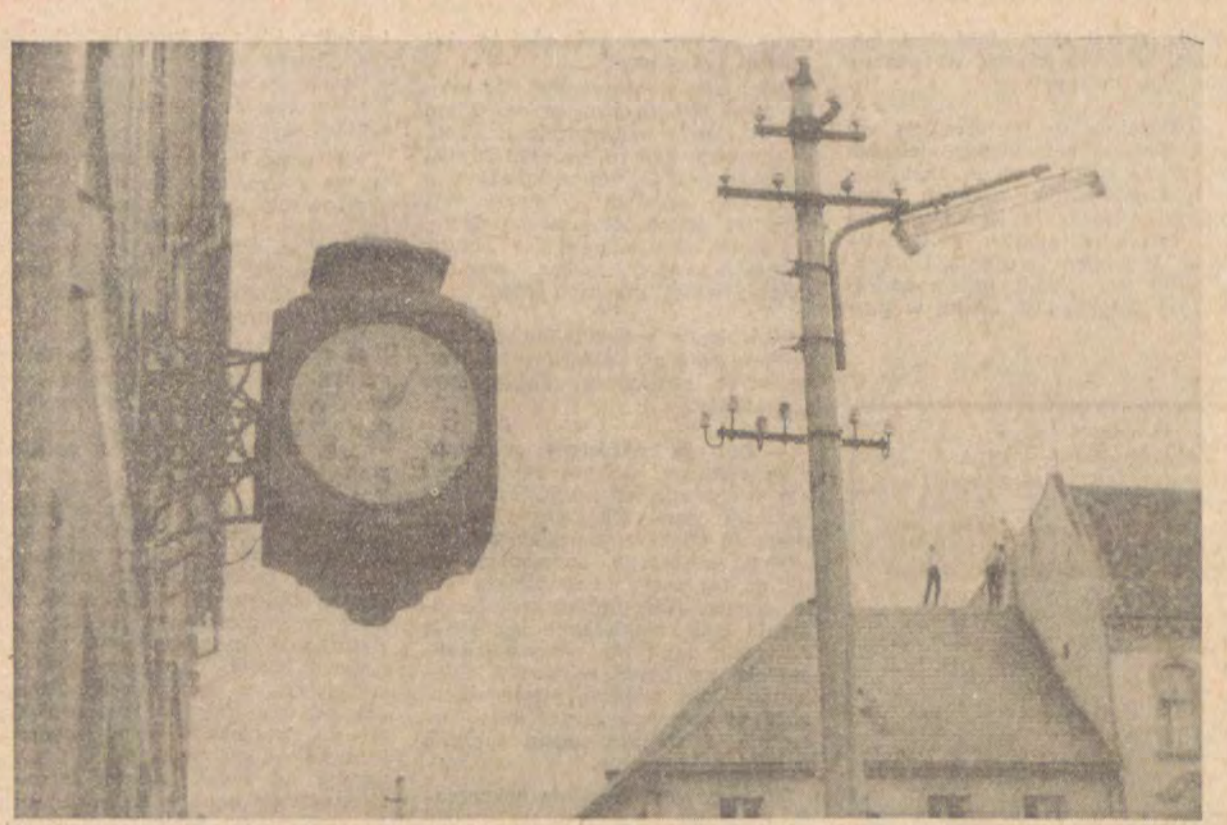

Fot. A. Różycki

Czy kultura — rozrywka?

W Zakładach Radiowych w Kutnie zorganizowano konkurs na najpopularniejszego mistrza — przyjaciela młodzieży. Kiedy już wyłoniono laureatów i postanowiono uroczyście wręczyć im nagrody, pomyślano o części artystycznej imprezy. Miały ją uświetnić występy zakładowego zespołu muzycznego.

— Zagracie na imprezie — powiedziano im.

— Dobrze — zgodzili się.

Występy udały się znakomicie, a po zakończeniu imprezy wezwano przewodniczącego ZZ ZMS i kazano mu za nie... zapłacić.

*

Dyrekcje przedsiębiorstw przemysłowych, rady robotnicze i zakładowe, od czasu do czasu, organizują imprezy rozrywkowe dla załogi. Jest to w zasadzie jedyna forma organizowania wspólnej rozrywki dla załogi, bo zarzucono już myśl prowadzenia działalności kulturalnej w fabryce. Pracownicy, którzy mieszkają dość daleko od zakładu, chętniej uczestniczą w imprezach, odbywających się bliżej miejsca zamieszkania. W małych miastach, niektóre przedsiębiorstwa przemysłowe biorą jednak na siebie ciężar organizowania i prowadzenia życia kulturalnego, ale robią to nie tylko z myślą o własnej załodze. Dlatego bardzo zdziwił mnie przypadek, jaki zdarzył się w Konstantynowie Łódzkim, gdzie dyrekcja i rada zakładowa Konstantynowskich Zakładów Przemysłu Wełnianego, po wyremontowaniu zakładowego domu kultury, zabroniła wstępu wszystkim, którzy nie są członkami załogi.

Mówimy — działalność kulturalna. Co kryje się pod tym sformułowaniem? Czy jej organizatorom i inicjatorom chodzi tylko o umożliwienie kulturalnego spędzania wolnego czasu, a więc zapewnienia rozrywki? Czy może chodzi również o stworzenie warunków dla zaspokajania różnorodnych zainteresowań? Czy w pojęciu kulturalnej działalności mieści się też popularyzacja nauki i sztuki, wyrabianie poczucia estetyki?

Odpowiedź na te pytania jest jednoznaczna — działalność kulturalna obejmuje wszystkie te dziedziny, a jej współtwórcami są: radio, telewizja, film, teatr, prasa, organizacje społeczne, młodzieżowe, stowarzyszenia twórcze itd. Jej adresatem jest każdy. Ale o doborze treści decyduje wiek i zasób posiadanych wiadomości. I w takim tylko pojęciu można mówić o młodzieżowym odbiorcy. O jego interesy w jak najszerzej pojętej działalności kulturalnej ma się troszczyć ZMS.

„Charakter kulturalnej działalności ZMS — stwierdzono w referacie na niedawnym, plenarnym posiedzeniu ZW ZMS — powinien być inspiratorski, przyczyniać się do szerszego uwzględniania potrzeb młodzieży w programowej pracy wszystkich ogniw kulturalnego frontu".

Dodajmy, że tak pojęta istota kulturalnej działalności wynika ze Statutu ZMS, organizacji powołanej do socjalistycznego wychowania młodzieży.

*

W praktyce ZMS nie tylko ogranicza się do inspiracji i troski o socjalistyczną treść tego, co robią inni, ale sam prowadzi ożywioną działalność kulturalną. Można tu obok szerokiej i interesującej pracy klubów wymienić 6 konkursów „Rubinowej Hortensji", sejmiki kultury, spotkania z ciekawymi ludźmi, turniej czytelniczy, „Kino dla 900 tysięcy", „Zabawa, jakiej nie było" i wiele innych imprez. To dobrze i zarazem — źle.

Dobrze — bo młodzi dzięki temu mają okazję nie tylko posłuchać muzyki, nauczyć się czegoś o otaczającym ich świecie, obejrzeć dobry film, czy spotkać się z interesującymi ludźmi, ale także osobiście brać udział w życiu artystycznym. Wprawdzie najczęściej są to zespoły muzyczne, o niezbyt wysokim — powiedzmy łagodnie — poziomie, ale zdarzają się też zespoły recytatorskie, teatrzyki poezji czy teatry małych form.

Źle — bo obok pozytywnej strony tej działalności, staje się ona powodem nieporozumień, wynikających z widzenia tylko własnej roli i własnych problemów. Byłam na ostatnim plenarnym posiedzeniu ZW ZMS i przysłuchiwałam się dyskusji. Przyznaję, oburzył mnie fakt, że dyrekcja ZPO w Pabianicach, pomieszczenia, gdzie działał zetemesowski klub „Trzynastka" zamieniła na... magazyn odzieży, ale i bardzo zanie pokoił dość powszechny ton wypowiedzi dyskutantów. Największą bowiem ich troską były... fundusze. Najczęściej słyszało się pretensje. A to tego nam nie dali, a to o tamto trzeba prosić, a to owego nam brakuje. Raził ten ton u młodych, ktorych — przywykliśmy — powinien cechować zapał i poczucie krytycyzmu również w stosunku do własnej działalności. Tymczasem nie słyszało się jakoś, co młodzież zrobiła dla środowiska, w którym żyje.

Więc rodzą się nieporozumienia. Młodzi chcą działać, a... starsi im nie dają. Takie odniosłam wrażenie, choć wiem, że to nieprawda. Bo wystarczy przypomnieć sobie o bardzo dobrym pomyśle młodych z Ozorkowa, którzy dość trudny temat: „Jesteśmy współgospodarzami" potrafili tak atrakcyjnie pokazać, że zainteresowali tym wszystkich. Wystarczy pamiętać, że zetemesowcy z Sieradza robią w dość trudnych warunkach znakomity „Sieradzki Światowid" na wzór starszego, telewizyjnego brata. Można byłoby jeszcze wspomnieć o klubach z Pabianic, Głowna, Zgierza, Łowicza, Tuszyna, Koluszek i Dobrzelina.

Tu na marginesie chciałabym podzielić się pewnym spostrzeżeniem, które w pierwszej chwili śmieszy, ale zaraz nasuwa ogólniejszą refleksję. Wynotowałam nazwy niektórych zetemesowskich klubów w województwie: „Semaforek", „Fakruś", „Miki", „Plastuś", „Fafik". Nazwy te brzmią infantylnie i wcale nie sprawiają wrażenia, że ma się do czynienia z poważnym partnerem. Niby drobiazg, a przecież nie bez znaczenia.

Wróćmy do nieporozumień. Kierownictwu ZW ZMS nie można z pewnością zarzucić całkowitego braku krytycyzmu, bo na przykład przy ocenie czytelnictwa dość ostro wypowiedziano się o niedocenianiu turnieju czytelniczego w Bełchatowie, Brzezinach, Łasku, Łęczycy, Poddębicach, Rawie Mazowieckiej i Wieluniu, bo w końcu równie ostro sformułowano pretensje pod adresem wydziałów kultury rad narodowych, organizacji i instancji związków zawodowych. A przecież czuje się w tym niedosyt, gorzej — pewien dość niepokojący stosunek do rzeczywistości, który nazwałabym sprawozdawczo-statystycznym. Bo przecież czytelnictwa nie można oceniać tylko i wyłącznie na podstawie konkursu. Dobrze byłoby sprawdzić w bibliotece powiatowej ile młodzieży wypożycza książki, zasięgnąć języka w szkołach i zakładowych bibliotekach. Przecież czytanie książek to nie tylko turniej.

Podobne zastrzeżenia budzi postulat ZMS skierowany pod adresem Teatru Ziemi Łódzkiej. Brzmi on:

„Dalsza popularyzacja teatru w środowisku młodzieży pracującej województwa uwarunkowana jest istnieniem wielostronnego planu poczynań, w którym odpowiednią rolę powinien odgrywać Teatr Ziemi Łódzkiej z programem bardziej dostosowanym do potrzeb młodzieżowego widza, a także większa aktywność Związku Teatrów Amatorskich".

No dobrze, a co z poniedziałkowym Teatrem Telewizji? Teatr to przecież dobry, popularny, ze znakomitym repertuarem. Swietna okazja do uczenia młodzieży odbioru tej dziedziny sztuki. Poza tym nie bardzo rozumiem sformułowanie „potrzeby młodzieżowego widza", gdyż zawsze sądziłam, że repertuar jest jeden, przeznaczony dla nieco przygotowanego widza i już w szkole średniej młodych uczy się teatru na utworach Krasińskiego, Szekspira, Mickiewicza, Słowackiego, nie mówiąc o Fredrze i Zapolskiej.

Więc chyba nie tak. Więc chyba organizacja młodzieżowa obok kulturalnej inspiracji powinna być też doradcą „młodzieżowego odbiorcy", któremu czasem trzeba doradzić, wskazać, nauczyć, a czasem po prostu zawieźć do teatru w Łodzi.

*

Zdaję sobie sprawę, że problemy rozwoju życia kulturalnego w powiatowym mieście, osadzie czy miasteczku nie należą do najłatwiejszych. Młodym trzeba oddać sprawiedliwość, bo robią wiele, choć nie zawsze najlepiej. Ale w małych ośrodkach są najczęściej jedynymi, którym kultura leży na sercu, bo daje im możliwość wyżycia się i działania. I chyba naczelnym celem ZMS powinno być kształtowanie postawy zaangażowanej, uczenie młodych różnych form działania. W kulturalnym kształtowaniu środowiska młodzi powinni być równorzędnym partnerem innych: rad narodowych, organizacji społecznych i związków zawodowych. Tylko że różnorodną działalność tych organizacji ktoś musi koordynować. Ktoś — tzn. rada narodowa.

A w małej osadzie, miasteczku, gdzie nie ma wydziału kultury?

Tam, gdzie są ludzie z inicjatywą zawsze można powołać społeczne ciało, które weźmie na siebie obowiązek koordynatora. Gdyby tylko przełamać partykularne bariery wyrażające się w statystyczno-sprawozdawczym patrzeniu na świat. Czego działaczom wojewódzkiej organizacji ZMS z całego serca życzę.

BOGDA MADEJ

DR ZENON RUDNICKI

Języki obce na manewrach

W swoim czasie posłużyliśmy się już tym tytułem *) i wydaje się, że odzwierciedla on najlepiej charakter imprezy, jaka i w tym roku odbyła się jednocześnie w dostojnych murach Uniwersytetu Jagiellońskiego i w Poznaniu. Przeważająca większość naszej młodzieży akademickiej po II roku studiów neofilologicznych miała okazję po raz pierwszy zetknąć się przez trzy tygodnie bezpośrednio z wykładowcami i mentorami (studenci starszych lat studiów) zagranicznymi, aby odbyć obowiązkowe praktyki językowe. Wzięła więc udział w „manewrach" przewidzianych programem studiów, w próbie bojowej na niby. Wprawdzie stworzono wszelkie warunki zbliżone do rzeczywistości, jednak nie w pełni prawdziwe, jakimi byłby wyjazd za granicę. Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego nie jest w stanie wysłać wszystkich studentów neofilologii do obcych krajów, gdzie, jak wiadomo, istnieją najlepsze warunki zweryfikowania i doskonalenia umiejętności obcojęzycznych. Dlatego Ministerstwo zaprasza do Polski od 14 lat na wniosek twórcy krajowych praktyk językowych, znanego w świecie językoznawcy, prof. dra Ludwika Zabrockiego, zagranicznych wykładowców i mentorów, których zadaniem jest przybliżyć naszym studentom język i kraj przez nich reprezentowany.

Tegoroczne praktyki języka angielskiego odbyły się w Poznaniu; języków rosyjskiego, francuskiego i niemieckiego w Krakowie. Uczestniczyli w nich obowiązkowo studenci po drugim roku studiów — także lat starszych, którzy z usprawiedliwionych powodów nie uzyskali jeszcze zaliczenia praktyk — ze wszystkich polskich katedr neofilologicznych; w sumie prawie półtora tysiąca osób łącznie z polskim personelem kierowniczym naukowym i administracyjnym. Zagranicę reprezentowało ponad stu wykładowców i mentorów z Anglii, Francji, NRD, USA i ZSRR.

Zasadnicze punkty programu praktyk przewidywały: podniesienie poziomu praktycznej znajomości języka obcego; pogłębienie wiadomości o zjawiskach życia codziennego i jego odbicie w systemie leksykalnym; rozszerzenie orientacji w zakresie aktualnych problemów kulturalnych i społecznych (teatr, film, telewizja, muzyka, malarstwo, głównie literatura); zagadnienia dotyczące metodyki nauczania języków obcych; wyświetlanie filmów długo- i krótkometrażowych w wersji oryginalnej; prezentację płyt i taśm z nagraniami współczesnej muzyki i tekstami sztuk dramatycznych w wykonaniu czołowych zespołów artystycznych; czytanie wybranej lektury i dyskusje w oparciu o tę lekturę; ćwiczenia w zakresie wybranych struktur zdaniowych i ćwiczenia fonetyczne.

Program realizowali wykładowcy w czasie 4-godzinnych zajęć audytoryjnych i laboratoryjnych przed obiadem. Po obiedzie odbywały się wspólne wycieczki z mentorami, zwiedzanie miast, wieczorki dyskusyjne i taneczne, spotkania ze współczesną piosenką, wystawianie fragmentów sztuk teatralnych w języku ich twórców. Bezpośrednie rozmowy z przedstawicielami obcych ambasad i konsulatów akredytowanych w Warszawie i Krakowie stwarzały dodatkowe warunki sprzyjające pogłębieniu znajomości języka obcego i nawiązaniu osobistych kontaktów.

*

Przebiegiem praktyk żywo interesował się osobiście Zastępca Przewodniczącego Rady Państwa JM Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. dr Mieczysław Klimaszewski, który zaszczycił swoją obecnością dwa spotkania przedstawicieli kierownictwa polskiego z zagranicznymi wykładowcami. Podczas jednej z rozmów prof. Klimaszewski spytał:

— Co pan sądzi o utworzeniu przy katedrach neofilologicznych zakładu przekładów obcej prozy na język polski? Z obcojęzyczną lekturą fachową można sobie dać radę, ale z literaturą piękną... A tłumaczy się jej za mało. Ta sprawa wymaga chyba jakiegoś racjonalnego rozwiązania.

Pytanie prof. Klimaszewskiego wprawia niewątpliwie w zakłopotanie, bowiem trudno udzielić na nie konstruktywnej odpowiedzi. Nie ma naukowych specjalistów w tej dziedzinie, co potwierdza fakt, że obcą prozę tłumaczą na język polski osoby, które często niewiele mają wspólnego z katedrami neofilologicznymi. Ze znajomości warsztatu literackiego wiadomo, że sam autor dzieła oryginalnego ma sporo kłopotów ze swoim własnym tworzywem, a cóż dopiero nie przygotowany teoretycznie tłumacz, którego zadaniem jest wtargnąć bez reszty w tę subtelną krainę i oddać ją w tworzywie języka polskiego. Temu problemowi należy niewątpliwie nadać odpowiednie podstawy naukowe, lecz w chwili obecnej nie zanosi się na natychmiastowe rozwiązanie sprawy w ramach istniejących katedr neofilologicznych. Nasuwa się jednak myśl, aby przy Polskiej Akademii Nauk utworzyć odpowiednią komórkę składającą się z neofilologów podstawowych języków, których zadaniem byłoby nakreślić główne podstawy działania w tej skomplikowanej dziedzinie.

Jeżeli odstąpiliśmy na chwilę od zasadniczego tematu artykułu, to tylko dlatego, że zasygnalizowany problem przez prof. Klimaszewskiego jest niezwykle ważny, bowiem takie jest zamówienie społeczne.

*

Pomyślna realizacja zadań nakreślonych przez Ministerstwo nie byłaby do przeprowadzenia, gdyby nie zapewniono odpowiedniej bazy materialnej. Nie wszystkie ośrodki uniwersyteckie są w stanie zorganizować tego rodzaju imprezy. Dlatego z wyjątkowym uznaniem należy powitać pełnię zrozumienia naczelnych władz Uniwersytetu Jagiellońskiego dla tej sprawy, głównie w osobach JM Rektora UJ prof. dra Mieczysława

JANKA BRYL

Matka

Przy żniwie z każdym dniem męczyła się coraz bardziej. Upalną duchotę trudno było odpędzić od strudzonych piersi nawet największą kłosistą garścią. A robić trzeba było, choć świata nie widzisz. I żęła nie skarżąc się.

Wracając wieczorem do chaty ze swym najmłodszym — w to straszne lato jedynym w chacie — synem, starowina ledwie wlokła nogi utrudzone w bezlitosnej pracy. Wyblakłe oczy patrzyły na świat spod nisko nasuniętej chustki, zawiązanej byle jak. Widziały jednak dużo. Matka nieoczekiwanie się zatrzymała i obejrzała na swego chłopca, który też z sierpem na ramieniu szedł za nią z szacunkiem, i zwolniwszy kroku „wydziobywał" po pastuszemu słodki żytni kłosek.

— Patrz, Wasyl, jak on się upiera... Eh, trzymaj się, nieboże, stój!

Syn przestał na moment „dziobać", spojrzał w stronę, gdzie pokazywała. Za ogromną, pasiastą szachownicą pola, gdzieś daleko daleko za wzgórkiem, gasła zorza, a całkiem blisko od miedzy, po której szli, stał pochylony mendlik żyta. Niedawno po niwach, z góry w dolinę, przeszła nisko wichura i ponasuwała mendlikom czapy na same oczy. A który słabiej był ustawiony, to i całkiem go pochyliła, albo nawet i przewaliła. Ten, na który wskazywała matka, nachylony wszystkimi snopami, jakby w pościgu za uciekającym wiatrem, co już był na drugim końcu świata — nie chciał upaść. I stara żniwiarka uśmiechnęła się, patrząc niemal tak samo rozmiłowana w życiu, jak w tych latach, kiedy była służącą w pańskim dworze i nic nie miała z własnych pragnień, zajęta bieganiem wokół cudzego szczęścia.

Kiedy miedza oparła się o gościniec, matka z synem skierowała się w lewo. Ścieżynką na poboczu, po trawie, szli w tym samym porządku: on za nią. Po prawej ręce wznosiła się wysoka grzęda szosy, po lewej od czasu do czasu huczały pobliskie słupy telegraficzne.

Przehuczy jeden, idziesz dalej, znów stoi i buczy, dalej znów to samo, jakby coś żywego tak ponuro, żałośnie, złowieszczo mamrotało z cicha.

Na jednym słupie, już niedaleko od zakrętu na ich chutor, stara zauważyła białą kartkę papieru, zawieszoną na wysokości oczu. Przeszła obok: nie miała możności myśleć o wszystkim... Po chwili zatrzymała się. Chciała powiedzieć synowi, żeby spojrzał co to takiego — ale nie zdążyła: on już sam czytał, porzuciwszy kłosek. Przeczytawszy, zerwał papier, podarł na strzępy i sypnął nimi jak garścią plew w oczy komuś niewidzialnemu.

— Co to takiego?

— Żeby nie dawać jeść czerwonoarmiejcom, żeby wydawać ich policji. Dadzą gorzałki i tytoniu.

— Niechby sobie wisiał, synku, przecież i tak nikt ich nie usłucha!

— Będą rozstrzeliwać tych, co nie posłuchają. Całą rodzinę. I chatę spalą.

— Na wszystko boża wola...

I poszli, znów jedno za drugim — milcząc.

W domu, w sionce starej chaty, jeszcze przez panów wyrzuconej ze wsi na chutor, matka wetknęła sierp w szczelinę nad uszakiem. Syn zrobił to samo. Poprawiła oburącz chustkę, dłońmi z góry w dół powiodła po twarzy, jakby zdejmując zmęczenie z oczu, i już chciała powiedzieć, że ot, — tylko wydoi krowę i będzie wieczerza.

— Ja pójdę na wieś — uprzedził ją Wasyl.

— Znowu! — krzyknęła bardziej strwożona, niż zagniewana. A potem łagodnie:

— Nie szedłbyś lepiej. Jutro trzeba rano wstać.

— No cóż, to i wstanę.

— To choć zjadłbyś kolację...

— Ja zaraz wrócę.

— Znowu to twoje zaraz... Oj, nachodzisz się ty jakiej biedy! Doprowadzi cię ten Azaronaczek! Wspomnisz ty moje słowa!

— Nic, nic, matko. Niepokoisz się?

— No, jeszcze pożałujesz. Znalazł sobie zabawę! Po twojemu ja ślepa — niczego nie widzę, albo głupia — niczego nie wiem!

Pomyślał, że nie warto więcej gadać. Nawet się uniósł:

— Jeszcze czego, będzie mnie uczyć!

I wyszedł.

Znów, daj Boże cierpliwości, na calutką noc!...

Po upływie jakiejś godziny stara chata w odludnym polu, do ostateczności zmordowana, pogasiła światełka okien.

Matka nie śpi.

Obok tego chutoru front — tragiczny początek wojny — przewalił się jak jakaś nagła wichura i górą i dołem. Ryczały samoloty, wybuchały bomby, turkotały czołgi, biegli po zbożach żołnierze... Ten wicher przegrzmiał i przez dusze: niespodziewanie wymiótł z chaty obydwu starszych synów. Stefan dopiero w zaprzeszłym roku, kiedy pojawili się towarzysze, wyszedł z sanacyjnego więzienia, doczekawszy tego, za co pokutował. Władzik, najstarszy, gospodarz, zmobilizowany latem trzydziestego dziewiątego, przyniósł w przymrozki garniec wszy z niemieckiego lagru.

I ot, poszli chłopcy znów, tym razem już na wschód. I nie wracają, jak inni... Nie zdążyli pożenić się — tak prędko przeleciał ten czas długo oczekiwanej wolności. Władzik zdążył naściągać drzewa, żeby stawiać nową chatę. Stefan był przewodniczącym w radzie wiejskiej. A Wasyl uczył się dwie zimy aż w Nowogródku...

Tak, tamtych nie ma. Bóg jeden wie, co będzie... A ten, ostatni, nie chce siedzieć w chacie, szuka nieszczęścia. Doczekała się — wyszedł i nawet nie powie dokąd i po co...

...Oni przyszli jeszcze po ciemku. Stara nie mogła zasnąć przez ten dokuczliwy ból w nogach; ostrożne pukanie w szybę nie tyle obudziło ją, ile po prostu przestraszyło. Zanim podniosła głowę z poduszki, zanim w tej siwej, prostowłosej głowie sto razy przekotłowała się myśl — kto to może być? — i nawet radość — a może?... zanim wstała, posłyszała głos sciszony do szeptu:

— Chadziain... Chadziain, atkroj!!! *)

Jak praktykuje się od wieków — najpierw przytknęła czoło do szyby, popatrzyła. Potem wyszła do sionki, drżącymi rękami odsunęła zasuwę i otworzyła drzwi.

Stało się jasne to, co przypuszczała od początku: to oni... czerwonoarmiejcy...

Jeden z nich — a ilu ich było wszystkich nie zdążyła zauważyć w matowo-przezroczystym półmroku — podszedł do niej i — wciąż jeszcze szeptem — rzekł pytająco:

— Mat'? Ty nam chlebuszka daj, radnaja... Ty nie bojsia: my srazu że ujdom... Iz łagiera bieżali...**)

Szary i gładki słup telegraficzny ze złowieszczym pomrukiem przepłynął przed jej oczami... Z tym samym papierkiem, który podarł jej chłopiec... Przemknęła myśl, targnęła trwogą za serce: a on jeszcze nie wrócił!... Biała plamka papieru mignęła wraz ze słupem w dali i znikła. Została tylko straszna, nie ogolona twarz człowieka z ogromnymi oczami. Zostali tylko oni — teraz już dokładnie widać — we czterech.

— Wchodźcie, chłopaczki... Ja wam choć mleczka... Choć pragnienie ugasić... Lampy nie będziemy zapalać...

To ostatnie wymówiła, przestępując próg.

I na gościńcu i w miasteczku i na całym jakże teraz dobrze znanym szlaku — od własnej, rodzinnej chaty do świeżej jamy w łopuchach, dobrzy ludzie widzieli jej krzyżowy pochód. I wszyscy rozumieli dokąd i za co...

Czterech bosych mężczyzn w wojskowych łachmanach, z rękami wykręconymi, do tyłu, związanych kolczastym drutem, szło po dwóch w ślad za nią. Niemcy tylko jej nie związali rąk... Cóż, nie bali się jej tak, jak tych bezbronnych, bezsilnych uciekinierów. Jeden z czerwonoarmiejców, całkiem jeszcze młody, ostrzyżony pod maszynkę, starał się ze wszystkich sił, żeby nie upaść, a patrząc na swych towarzyszy, podniósł, jak i oni, głowę.

Swe chude, tak mało w życiu całowane ręce, trzymała złożone odciskami do środka. Szeptała własne, zupełnie nowe słowa modlitwy. I jasna była jej twarz w porannym świetle słońca, choć po zmarszczkach bezwiednie toczyły się łzy. I teraz nie myślała o sobie. Gdzie on, jej Wasylek, czemu nie wrócił? Jak dobrze, Boże łaskawy, że nie przyszedł, nie przybiegł nawet na pożar chaty! Widać daleko już gdzieś jej synek, pewnie odkopali z Azaronkiem swoje kulemioty... Gdzie oni, Władzik i Stefan?... Chroń ich, Boże, chroń wszystkich trzech od kul, daj im wszystkim zobaczyć matczyną mogiłę... I tu dusza jej zwracała się do tych, do cudzych synów, z którymi tak mocno zespoliła ją wspólna dola. Słyszała ich kroki — szuranie bosych stóp po żwirze, słyszała ich ciężkie oddechy... Oddała im wszystko, co mogła... A tu nawet nie obejrzysz się... I zostało jej jedno — jak jeszcze mama uczyła — modlić się. I za swoich synów i za cudzych i za siebie...

Gorąco dyszały kłaczaste, durne paszcze owczarków. Czarną stalą połyskiwały automaty w gołych do łokci, opalonych rękach. Od czasu do czasu na zboczu huczały słupy telegraficzne.

Matka nie wiedziała, kim ona jest. Nie myślała o tym, że obraz jej utkwi w sercach wielu mężczyzn gorzkim, nielitościwym wyrzutem, że oczy jej i ręce jej wspominać będą nawet mocni ludzie, wypędzający z duszy ostatni strach przed nocnym, partyzanckim atakiem...

Tłum. MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

*) Gospodarzu... Gospodarzu, otwórz!...

**) Matka? Ty nam chleba daj, rodzona... Ty nie bój się: my zaraz odejdziemy... Uciekliśmy z obozu...

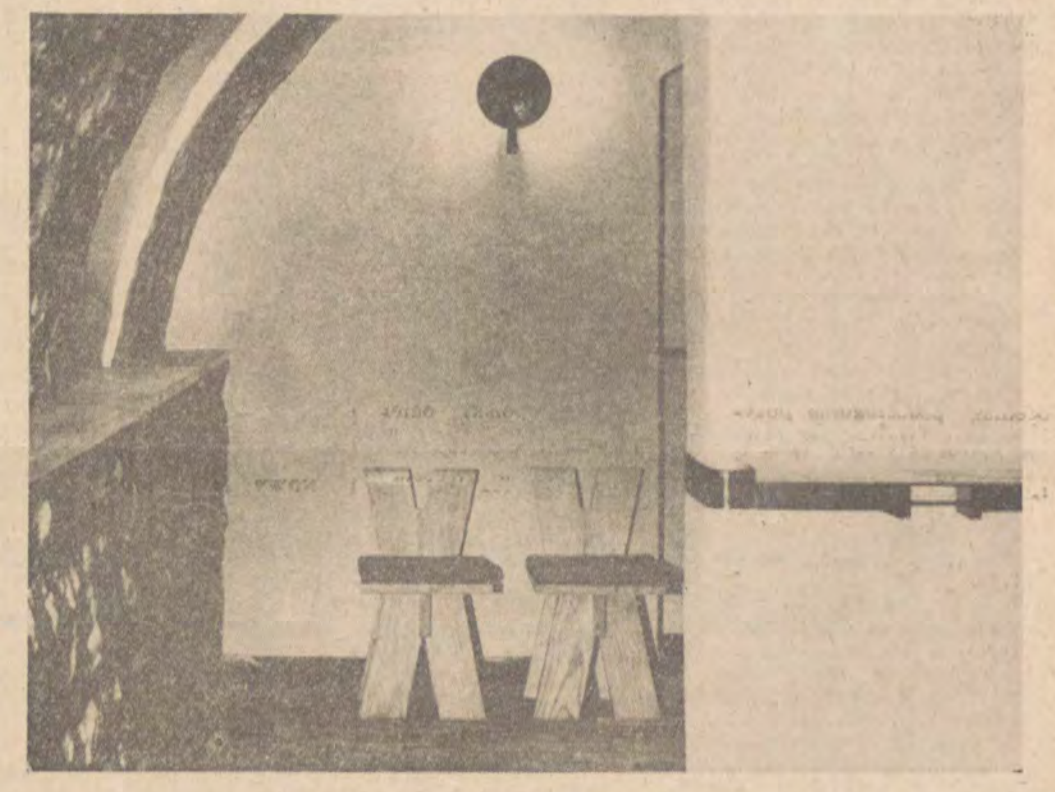

Klimaszewskiego, Prorektora UJ prof. dra Mieczysława Karasia, I Sekretarza KU doc. dra Andrzeja Serczyka i Dyrektora Administracyjnego UJ mgra Jana Hajeca, którzy hojną ręką oddali do dyspozycji kursu najnowocześniejszy hotel studencki, wzorowo wyposażone sale wykładowe, aulę uniwersytecką, najbardziej współczesne laboratoria i ze smakiem wyposażone pomieszczenia klubowe.

Nie bez znaczenia jest również fakt, że dyr. Hajec hołduje zapewne zasadzie, że żołądek jest sumieniem ciała. Przeto wyżywienie było na takim poziomie i tak obfite, że wszyscy uczestnicy zmuszeni byli poświęcić tej materii sporo życzliwych uwag, zwłaszcza że i forma podania odbiegała zasadniczo od tej, do której zdążyliśmy przywyknąć na co dzień.

Także nasza młodzież studencka była jakaś inna niż w latach ubiegłych, jakaś bardziej odświętna, taktowna, wykazująca wiele zrozumienia dla stosunkowo dość surowego regulaminu kursu. Brała udział we wszystkich zajęciach przepisanych programem, nie nastręczała poważniejszych trudności wychowawczych, a samorząd czynnie współpracował z kierownictwem praktyk. Najwyraźniej dała się poznać w czasie tzw. „zielonej nocy". Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zrzuciła z siebie codzienny strój i przekształciła się w przedstawicieli wszystkich kontynentów świata. Tajemnicza Hinduska dała wdzięcznym gestem znak do przejęcia całkowitej władzy przez studentów. Jej dużym, czarnym oczom nikt i nic nie mogło się przeciwstawić. Zielona opaska zasłaniająca resztę twarzy potęgowała zagadkowość, która nie znosi rychłego rozwiązania, ale która usilnie zmuszała raz jeszcze spojrzeć w złożoną głębię młodego człowieka, i która raz jeszcze przypomniała zbyt często niedocenianą receptę na zachowanie trwałej młodości: żyj z młodymi, a czytaj starych!

Polskie szlachcianki w powłóczystych strojach operując zalotnie szerokimi wachlarzami zapraszały panów o dłuższym stażu życiowym do poloneza. Potem nastąpiły nowoczesne melodie, w czasie których nie bardzo wiedziałem, co z sobą począć, ale jedno jest pewne, że zbyt szybko wniosły na swoich zielonych skrzydłach poranny brzask. Nadszedł niezaprzeczalnie czas, aby ponownie, tym razem w melancholijnej zadumie, przejąć władzę nad tą wspaniałą, błyskotliwą, pełną inicjatywy, zdyscyplinowaną i kulturalną młodzieżą akademicką. Studenci ze wszystkich ośrodków uniwersyteckich ubiegali się przez całe trzy tygodnie o tę budującą wizytówkę i uzyskały ją w całej pełni. To już nie były „manewry", to był końcowy akcent konfrontacji poglądów podsycanych wątpliwościami z najprawdziwszą rzeczywistością, z najprawdziwszą polską młodzieżą akademicką, na której można polegać i której można ufać. Przekonanie to powinno i może wypełniać pieczęć w naszej legitymacji nauczycielskiej.

*

Czas na wnioski, chociaż te podstawowe, a jest ich pięć. Doświadczenie 14 lat nie tylko zachęca, ale zarazem upoważnia — tym bardziej, że nasze uprzednie sugestie zostały uwzględnione przez Ministerstwo — do podjęcia następnej próby nakreślenia przynajmniej głównych propozycji, aby praktyki językowe osiągnęły jeszcze bardziej proporcjonalne rezultaty w stosunku do ogromnych wysiłków personelu kierowniczego i w celu zachowania dotychczasowej prężności imprezy.

1. Przede wszystkim wyłania się nieodzowna konieczność powołania stałej instytucji, która zajmowałaby się przez cały rok organizacją praktyk językowych zarówno od strony administracyjnej, jak i naukowo-dydaktycznej. Dotychczasowy zwyczaj powoływania tak ogromnej imprezy w ostatniej chwili, a która równie błyskawicznie znika po niecałym miesiącu trwania, nie może być uznany za słuszny, jeżeli uwzględnimy tendencje stale wzrastającej liczby uczestników kursu zobowiązanych programem studiów do zaliczenia praktyk. Przy małej liczbie studentów łatwiej było realizować zadania nawet w trybie doraźnego powoływania kursu. Jednakże to, co wczoraj było wystarczająco dobre, zmusza dziś często do podejmowania decyzji na zasadzie improwizacji.

2. Wydaje się racjonalne, aby najdalej w pierwszej dekadzie grudnia, po dokładnym rozważeniu problemów wynikłych w czasie praktyk bieżącego roku, zorganizować konferencję kierownictwa polskiego z przedstawicielami delegacji zagranicznych poszczególnych sekcji językowych w celu spokojnej wymiany spostrzeżeń i dokładnego nakreślenia programu na rok przyszły przede wszystkim w zakresie tematyki wykładów i ćwiczeń seminaryjnych. Podobną konferencję zaproponowała już delegacja NRD. Attache kulturalny Ambasady NRD w Warszawie wyraził gotowość wzięcia czynnego udziału w takiej konferencji; koszt przyjazdu przedstawicieli delegacji NRD pokryje tamtejsze Ministerstwo.

3. Wspomniana tendencja rozrostu liczby uczestników praktyk jest już obecnie bardzo dotkliwa, zwłaszcza dla gospodarzy w Krakowie. Nie bez podstaw zgłaszam propozycję, aby w roku przyszłym dla rozładowania „najazdu" na Kraków przenieść najliczniejszą sekcję językową, jaką jest Sekcja Rosyjska (około 400 uczestników) do innego ośrodka uniwersyteckiego. Najodpowiedniejsza wydaje się być Warszawa, która ma dogodną komunikację z Moskwą, co dla licznej delegacji naukowców z ZSRR nie jest bez znaczenia. Rezerwowanie miejsc w pociągu Warszawa — Kraków i z powrotem nie jest sprawą łatwą w okresie urlopów letnich.

4. Sprawa dotyczy składu osobowego delegacji zagranicznych. Chodzi o to, aby miały charakter stały, przynajmniej w zakresie czołówki kierowniczej. Łatwiej jest współpracować z ludźmi, którzy poznali już na miejscu specyfikę zadań. Przy czym należałoby uwzględnić następującą zasadę: mniej wykładowców, natomiast więcej lektorów nauczających obcokrajowców i jak najwięcej mentorów — tych ostatnich przynajmniej w stosunku jeden na dziesięciu naszych studentów.

5. Ostatni postulat dotyczy członków kierownictwa polskiego. Problem raczej delikatny. Dlatego zrezygnuję w tym miejscu z przedstawienia szczegółów; przedłożę je odpowiednim władzom w Ministerstwie. Dodam tylko, że wprawdzie entuzjastów praktyk językowych, cenionych pracowników w macierzystych uczelniach, rezygnujących z zasłużonych urlopów na rzecz kursów wakacyjnych, trudno zniechęcić i odciągnąć od tych ciężkich i dodatkowych obowiązków, ale można by wykrzesać z nich jeszcze więcej zadowolenia, gdyby Ministerstwo zastosowało odpowiednie do ich wysiłków bodźce. W szeregach nauczycielskich byt może mieć również wpływ na dynamikę działania.

Dr ZENON RUDNICKI

— —

*) „Odgłosy" 42(572) z 20. X. 68.

ANTONI KASPROWICZ

Romantyk

Mój Wacek — to dobry chłopak, nie żaden chuligan! Grzeczny, posłuszny, prymus Szkoły Rzemiosł Budowlanych, niepijący i niepalący, a jednak o mało co nie wyleciałem przez niego z roboty.

Pracowałem wtedy na nocną zmianę w zakładach bawełnianych im. Mickiewicza, obsługując cztery krosna. Wiadomo, że robota tkacza nielekka. Osiem godzin w bawełnianym pyle, w nieustannym klekocie warsztatów i skisłym zapachu oliwy — to nie żarty. A mowy ludzkiej nie usłyszysz tu za Boga! Chyba na migi. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić. Najlepszy dowód, że po zakończeniu wojny i powrocie z niemieckiej niewoli zgłosiłem się natychmiast do fabryki, w której przed wojną tyrałem okrągłe dwadzieścia lat.

Pewnego popołudnia, leżąc w łóżku wyspany i wypoczęty po nocnej harówce — powiadam ja do mojego chłopaka.

— Te, Wacuś, słuchaj, no! Kto to był właściwie ten nasz Mickiewicz? Ot co mi strzeliło do łba.

— To ojciec nie wiesz?

— Ano, nie!

— Poeta, romantyk!

— Znaczy się?

— Tworzył ballady, poematy!...

— Zresztą — powiada mój chłopak — czytać tata potrafisz, więc jak sobie życzysz, przytacham ci od kumpla knige z tymi balladami, co?

— Ano, przytachaj — powiadam. — A żyje jeszcze ten romanta?

— Co też ojciec wygadujesz — oburzył się mój mądrala. Zmarł na cholerę, przeszło dziewięć dych temu i leży razem z królami na Wawelu.

— Na Wawelu? z królami? — zawołałem zdumiony, podrywając się na łóżku.

— A ojciec myślał, że z kim i gdzie?

— Ho! ho! ho! Więc dawaj synu migiem tę jego knigę, poczytamy.

Następnego popołudnia leżąc w łóżku, wyspany, dukałem już na głos: „Świteź", „Lilie", „Czaty". A przy „Pani Twardowskiej" — to pękaliśmy ze starą od śmiechu. Takie tam były komy i hopy!

Prawdę mówiąc wszystko to było dalekie od prawdy i rzeczywistości, ale takie jakieś ludzkie urzekające — jak ten wojewoda — co to „z ogrodowej altany — wybiegł zły i zdyszany".

A wszystko to tak ułożone jak by się działo naprawdę. Czuć nawet zapach prochu przy wystrzale z gwintówki.

Podobały mi się te ballady, ale najbardziej to „Świteź", z której jedną zwrotkę w żaden sposób nie mogłem pojąć. Więc wykułem ją na pamięć.

Wreszcie pewnego dnia powiadam ja do mojego chłopaka. — Te, Wacuś, jak to należy zmiarkować. Uważaj no!

dobą
„Jeżeli nocną przybliżysz się
I zwrócisz ku wodom lice,
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy
pod tobą
I dwa obaczysz księżyce."

— To ojciec jeszcze nie kapujesz? — zdziwił się mój mądrala.

— Jakoś nie!

— No, jedne gwiazdy na niebie, drugie odbite w jeziorze — tłumaczy mi Wacuś. Jeden księżyc w górze, drugi w wodzie na dole. No, teraz tata pojmujesz?

Zresztą codziennie wieczorem i rano w drodze do fabryki i do domu przechodzisz ojciec Przędzalnianą obok stawu, to przystań, popatrz i wymiarkuj — poradził mój mądrala i wyszedł.

— Chłopak ma rację — pomyślałem i zastanowiłem się jednocześnie. — Jak to mogło być, że przez tyle lat, przechodząc obok stawu do fabryki, ani razu nie dojrzałem w wodzie gwiazd, ani księżyca .Jak to mogło być? A może wielu, wielu jest jeszcze takich jak ja, którzy śpiesząc do pracy, ani razu nie zerknęli na niebo i wodę. Bo cóż tam gwiazdy i księżyc! Fabryka i rodzina ważniejsze.

— Te, matka — powiadam tedy do starej. Rzuć ino okiem na kalendarz i powiedz o której godzinie wstaje dziś księżyc.

Muszę go wreszcie zmiarkować, słyszysz?

— Co ci znów do łba strzeliło, łysoniu? Zwiariowałeś pewnie przez te twoje poety i jeszcze jakieś nieszczęście sprowadzisz do domu — zaskwierczała stara, ale pokicała do kuchni, gdzie wisiał kalendarz.

— O dwudziestej! — usłyszałem po chwili i zerwałem się z łóżka.

— Trzeba dziś wcześniej wyskoczyć do budy by te „gwiazdy nad sobą i te gwiazdy pod sobą i dwa obaczyć księżyce" — postanowiłem i przed dwudziestą wyprysnąłem już z chaty, i dawaj drała nad ten staw przyfabryczny.

Pogodny wieczór czerwcowy nastroił mnie marzycielsko, więc uśmiechnięty coraz częściej spoglądałem ku niebu i rozćwierkanym przyulicznym ogródkom, potrącając przechodniów, aż wreszcie jeden z nich ucapił mnie za rękę.

— Dokąd to Jaworszczak z tą zadartą łepetyną! — wykrzyknął.

— Jak to dokąd? Do roboty !— odpaliłem.

— Przecież jeszcze za wcześnie.

— Niby tak, ale ja po drodze, uważasz Wasiak — nad staw, popatrzeć trochę jak w tej wodzie gwiazdy i księżyc — uważasz...

— Księżyc i gwiazdy? — zdumiał Wasiak stukając się palcem po czole. — Gwiazdy i księżyc, gwiazdy i księżyc — powtarzał — po czym odskoczył ode mnie jak oparzony, a ja ruszyłem dalej, skrzętnie omijając przechodniów, aż wreszcie zatrzymałem się nad wodą. Zatrzymałem się i spojrzałem. Rzeczywiście jak w balladzie: gładka szyba wody, otoczona przybrzeżnym sitowiem, ocieniona wierzbami i kasztanami, a w tej wodzie w tej zielonej — grążelki, grzybienie, a turzyce, a kaczeńce i ten trzciniak rozdzwoniony... a księżyca jak nie widać, tak nie widać.

— Cholera! — jeszcze się spóźnię do roboty — pomyślałem, wyczekując nad brzegiem, ale w tej samej chwili spod wschodniego horyzontu nieba wypłynęła ognista ryba pławiąc się w wodzie.

Odezwała się gdzieś pliszka, zarechotały radośnie żaby, pojaśniały znieruchomiałe wierzby i błogo uczyniło mi się w sercu.

Po raz pierwszy w życiu oglądałem takie uroczyste zjawisko i dziwiłem się bardzo, że nikt z przechodzących ulicą obok stawu nie zatrzyma się na chwilę by spojrzeć na wodę z pławiącym się księżycem.

— Ciekawe — pomyślałem — co by na ten widok powiedział na przykład taki Grobelny, albo taki Matczak, albo sąsiad Mikuś, który w swym życiu poza dom i fabrykę nosa swego nie wyściubił. Szkoda, szkoda, że nie mieszkamy, gdzieś tu w pobliżu tego stawu, żałowałem — i nagle przypomniało mi się, że czas do roboty. Poderwałem się więc jak wystraszony wróbel i przez wyłamaną w płocie sztachetę, dawaj chodu na ulicę i wprost do fabryki.

Spóźniłem się i portier nie chciał mnie wpuścić, ale wymigałem się jakoś. Gorzej poszło z majstrem, który na sali pogroził mi ręką i zanotował coś w notesie, bo widział moje krosna nie na chodzie.

Przestukałem jednak całonocną zmianę i o szóstej rano leżałem już w łóżku, nie wspominając starej nic a nic o księżycu i spóźnieniu się do fabryki. Mało tego, bo poprzysięgłem sobie w duszy, że już nigdy więcej nie zatrzymam się nad tym przeklętym stawem.

W południe jednak, mimo woli zerknąłem ukradkiem w kalendarz — o której księżyc wznosi łepetynę, a przez okno — czy niebo czyste.

O normalnej jednak porze, jak codziennie wyruszyłem do roboty razem z tłumem spieszących robotników, no i co? Już w pobliżu fabryki, jak lunatyk, przeszedłem na drugą stronę jezdni, by przez rzadkie sztachety odgradzające staw od ulicy, spojrzeć choć jeszcze raz przez chwilę na nieruchome drzewa nad wodą i na przywodne ugorzysko porosłe chwastami i dziką trawą.

Ludzie szli i szli, a ja patrzałem i patrzałem, dziwiąc się bardzo, że przyfabryczne płachcie ugoru leżą tak od dawna nie wykorzystane. Przecież można by tu, pomyślałem, urządzić kąpielisko, plażę, albo rozparcelować ugór robotnikom pod ogródki działkowe. O, tak, tak, tak! pod ogródki działkowe, by w letnie wieczory mogli się wsłuchiwać w pogwizdy ptasząt, w poszumy wierzb i kasztanów i dwa podziwiać księżyce. A przecież ten płacheć ugoru wystarczy na dziesiątki takich ogródków.

Patrzałem, rozmyślałem i nagle cisza na opustoszałej ulicy targnęła mną, że czas najwyższy do pracy. Porwałem się więc i pobiegłem.

Tym razem portier spojrzał tylko na zegar, pokiwał głową i przepuścił mnie na salę, gdzie majster czekał już przy moich krosnach.

Najpierw podszedł do mnie bym chuchnął, czy nie jestem na bańce, a potem wręczył mi karteluszek, z którym zgłosić kazał mi się w południe w radzie zakładowej.

Kląłem w duchu te przeklęte ballady i całą noc dreptałem nerwowo przy swoich warsztatach.

A gdy wróciłem do domu nie polazłem jak zwykle do łóżka, tylko obijałem się po mieszkaniu markotny i rozdrażniony.

— Łazisz naburmuszony, jak zbój! Pewno znów coś zwojowałeś — utyskiwała żona, ale ja ani mru, mru, bo w duchu przyznawałem jej rację.

Nie wytrzymałem jednak do południa, bo już o dziesiątej wyrwałem się do tej cholernej rady zakładowej, nie wspominając babie dokąd idę.

— No cóż? — rozmyślałem po drodze — każdemu w życiu może coś się przydarzyć, bo człowiek jest tylko człowiekiem i łazi po ziemi, a na tej ziemi nie żadne cuda, tylko odwieczna szarpanina, a wszystko to razem wzięte, śmiechu jest warte. Ot, co!

W radzie zakładowej wygawornie z tej ziemi: dyscyplina, demoralizacja, plany, deficyt, absencja! — aż mnie głowa rozbolała. Słucham więc, słucham, aż wreszcie powiadam:

— To wszystko przez ten cholerny księżyc!

— Przez co? — wykrzyknął przewodniczący, podrywając się z krzesła.

— No, przez księżyc, powiadam, bo chciałem po raz pierwszy w życiu zobaczyć jak przebija się w wodzie.

— No i co?

— No i nic. Ujrzałem go, zagapiłem się i przez to spóźniłem się dwa razy do roboty. Ale radziłbym i wam zobaczyć to błyszczące zjawisko. No i nie tylko wam, bo wielu wielu ludzi mogło by podziwiać, gdyby nad tym przyfabrycznym stawem urządzić kąpielisko lub założyć ogródki działkowe dla robotników. Aż serce boli patrzeć na ten szmat, nie wykorzystanego ugoru. Powiadam uczciwie. A znajdą się chętni, znajdą! Pokopią, zagrabią, posadzą drzewka, krzewy i warzywa, nawdychają się po pracy świeżego powietrza, popatrzą na księżyc, na gwiazdy, no i gleba obrodzi zamiast leżeć ugorem.

— Ogródki działkowe, powiadacie? Ogródki? — zastanowił się przewodniczący, skrobiąc się za uchem. — A no zobaczymy, pomyślimy. Ale czy zdajecie sobie sprawę Jaworski ile to trzeba trudu, pracy i praktyki, żeby odpowiednio i z pożytkiem uprawiać i wykorzystać działkę? Ja o tym coś wiem, bo przed wojną posiadałem płachetkę ziemi i orientuję się w odmianach landzberskich i Welthach i wiem, jak zwalczać szkodniki, jak opryskiwać truskawki euparenem, jak pielęgnować renklody i zrywać klapsy. No, ale pomyślimy, zobaczymy. Przecież i wśród robotników znajdą się tacy, którzy znają się na uprawie ogródków i sadów. W każdym razie niezły pomysł z tymi ogródkami. A ponieważ te wasze spóźnienia do pracy pójdą prawdopodobnie na ludzki użytek, więc możecie Jaworski spokojnie pójść do swojej roboty. A pamiętajcie, że w razie czego, wam pierwsza działka przyzakładowa, boście projektant no i romantyk — zakończył przewodniczący ściskając mi łopatę.

Przyszedłem do domu uśmiechnięty i zadowolony, aż stara się dziwiła. Co tam dziwiła, postawiła nawet kielicha z kupionego na niedzielę pół basa.

Nie wiadomo jakim cudem, ale po kilku dniach cała fabryka będniła już o ogródkach działkowych, że oglądali już ugór, mierzyli parcele, wytyczali działki, a nawet mówili, że zapomogi będą udzielać na zakup narzędzi ogrodniczych.

Mówili, plotkowali, ale ja nie widziałem, żeby się coś działo na tym przyfabrycznym ugorze.

Aż tu pewnego dnia stara moja szarpie mnie za koszulę i zrywa zaspanego z pościeli. Niby jakieś pismo listonosz przytaskał do mnie. Zrywam się więc, przecieram oczy, rozrywam kopertę i czytam. Że co? Że rada zakładowa oddaje mi w bezpłatną dzierżawę działkę przyzakładową o powierzchni trzystu metrów kwadratowych, oznaczoną numerem...

Była jedenasta w południe jak wyprysnąłem z betów i podrałowałem w pole. Pędziłem jak wariat, wreszcie dobiegam i co ja widzę? Mrowie kobiet i mężczyzn i dzieci szpadluje ziemię, mierzy, grabi, ogradza sznurami. Okrzyki, śpiewy, rwetes.

Odnalazłem wreszcie moją parcelę, wymierzyłem pożyczonym metrem, postałem chwilę, pogawędziłem z sąsiadem i wróciłem do domu, dzieląc się radością z połowicą.

Do późnego wieczora gawędziliśmy i radziliśmy się jakie to drzewka i krzewy, jakie to warzywa i kwiaty będziemy sadzili i siali w tym naszym ogródku działkowym.

Stara nawet przebąkiwała coś o ogrodzeniu drucianym, ale ja udawałem, że nie słyszę, bo wiedziałem, że tak, czy owak, z odłożonej z wielkim trudem forsy niemało jeszcze grosza poleci na ten ogródek działkowy.

Po kilku już tygodniach, niektórzy działkowicze skopali już teren, uporządkowali grządki, wytyczyli ścieżki, odrutowali działki, a nasz sąsiad Kolasa to nawet sobie willę z dykty postawił, że hej! Trzy metry na dwa i pół, tak, że nawet kozetkę w niej pomieścił i stolik i dwa krzesła. Mała ta jego willa, mała, ale pomalowana w różne kolory, z gwiazdą na dachu i okienkiem ze szkła karbowanego. Drugi już tydzień nocuje w niej Kolasa i jak powiada — lepiej się czuje na serce, o wiele lepiej jak w kamienicznym podwórku.

Zazdroszczą mu też inni działkowicze, ej zazdroszczą, ale najbardziej to moja stara, która ciągle mi wypomina, że dałem się Kolasie wyprzedzić.

—Ale tak, czy tak, ta cała jego willa jest do kitu, pocieszała się moja stara — bo nie posiada chorągiewki blaszanej na dachu. A za rok w naszej willi będzie stał nie tylko tapczan, ale i stół i radio i umywalka, a na ścianie będzie wisiał obraz święty, nie tak jak u tego bezbożnika — paplała w kółko moja połowica.

Prawdę mówiąc, to nasza kolonia działkowa rozrastała się i pięknniała z dnia na dzień, bo tkacze łaknęli słońca, powietrza i zielonej przestrzeni nakrytej niebem niebieskim.

Liczyły się już na terenie naszego miasta liczne ogródki działkowe, jak „Jaworzynka", „Beldonka", „Jabłonka", ale nasza przyfabryczna „Pod Księżycem" jest najurodzajniejsza i najpiękniejsza, w tym zakopconym robotniczym mieście.

Rys. E. Inglot

TADEUSZ ŚLIWIAK

Bieszczad pejzaż poranny

z twarzą przy ziemi
i z nożem na płask
śpię jakbym słuchał
drzew od ich korzeni
śni się pode mną
i nade mną las
a światło kłamie siebie stromym cieniem

dom tutaj wielki
ścian nie ma ni szyb
świt już się zbliża mokrym pyszczkiem sarnim
wychodzę z wody z koszem pełnym ryb
wychodzę z lasu niosąc miodu garniec

ogień się modli
wznosi palców dziesięć
i dłonie składa
i śpiewa swój dym
wiatr chłodnym futrem już podszywa jesień
a szron poranny pisze znaki zim

Madonna Bieszczad

Jej się kłaniajcie madonny drewniane
jej się kłaniajcie madonny gipsowe
madonny daszkiem okryte przed deszczem
jej się kłaniajcie siostry drogowskazów

Madonna Bieszczad w miejscu nie ustoi
chodzi po ludziach szuka wsi spalonych
jej palce z ziemi wygrzebują ołów
jej ręce puste nawołują syna

Przez Lutowiska Cisnę Wołkowyję
trójzubów ślady ciągną się odbite
deszcz ich nie rozmył mróz ich nie pokruszył
i nie zarosła połoniny szczeć

Madonna Bieszczad drze palcami wiatr
włochaty jeszcze od hryniowej czapy
Madonna Bieszczad kruszy w dłoniach węgiel
by do ostatniej iskry zabić ogień

Półka z książkami

WSPOMNIENIA REDAKTORA

Ryszard Hajduk, pisarz i dziennikarz, poseł na Sejm PRL, od lat związany z Opolszczyzną, ogłosił ostatnio tom wspomnień „Od Nowin do Trybuny", które są książką cenną i przeznaczoną nie tylko dla czytelników Ziemi Opolskiej. Jest to książka dla każdego, kto interesuje się historią i losem prasy polskiej w okresie między wojennym na terenach należących wówczas do Niemiec, i po wojnie, kiedy słowo polskie może się tam pojawiać bez przeszkód.

Książka Hajduka składa się jak gdyby z dwu części: historycznej, którą autor przedstawił na podstawie zachowanych dokumentów i rozmów z ludźmi oraz współczesnej, w której sam brał czynny udział i którą współtworzył jako redaktor, działacz społeczny i pisarz.

„Od Nowin do Trybuny" opisuje w sposób żywy i barwny powstawanie na Śląsku Opolskim pism i gazet a także oficyn wydawniczych, które tak ważną odegrały rolę w krzewieniu i pobudzaniu ducha polskiego dawniej, a dziś mają za zadanie rozwijać prasę i kulturę polską na ziemiach przywróconych macierzy.

Ryszard Hajduk, dysponujący pokaźną wiedzą i doświadczeniem, a ponadto bardzo sprawnym piórem, napisał rzecz, która wzbogaca piśmiennictwo dotyczące historii prasy polskiej i walki o polskość i czyni to w sposób konkretny, daleki od frazeologii. Książka, zawierająca liczne ilustracje, zasługuje ze wszech miar na uwagę i zainteresowanie.

j. k.

Ryszard Hajduk: „Od Nowin do Trybuny", wyd. „Śląsk", Katowice 1970 r.

OSTATNIA POWIEŚĆ MAURIACA

Zmarły przed paroma zaledwie tygodniami Francois Mauriac napisał przed rokiem (mając lat osiem dziesiąt cztery) ostatnią swoją powieść „Młodzieniec z dawnych lat", która ukazała się właśnie w przekładzie na język polski. Fakt, że w tak późnym wieku można napisać tak dobrą książkę, wzbudza nasz podziw dla pisarza, który — jak sądzą krytycy — był ostatnim wielkim pisarzem w Europie. Na skrzydełku obwoluty napisano, że jest „to chyba jedna z największych powieści tego wielkiego pisarza". Zapewne, choć musi ona ustąpić pierwszeństwa takim np. utworom jak napisane jeszcze przed r. 1939 „Kłębowisko żmij".

Narratorem i zarazem bohaterem (nie jedynym, rzecz prosta) jest siedemnastoletni chłopiec, który opowiada dzieje rodziny i otoczenia, w jakim się wychował. Powieść (jak zwykle u tego autora) nie odznacza się wynalazczością fabularną, dzieje się w niej w sensie zdarzeniowym niewiele, przynosi natomiast wiele rozmyślań i refleksji, a także subtelnych opisów i analiz duszy ludzkiej.

Mauriac realizuje w swej powieści postulat, któremu był wierny przez całe życie, a który zdefiniował w jednym z ostatnich wywiadów prasowych: „Sztuka dla sztuki — to dla mnie był zawsze pusty frazes. Wielkie dzieła zawsze wyrażają jakąś istotną treść, przynoszą jakiś dar".

„Młodzieniec z dawnych lat" jest darem wybitnego talentu, który potrafi odkryć wiele tajników psychicznego życia człowieka. Książkę przełożyła bardzo ładnie na polski Zofia Milewska.

j. k.

Francois Mauriac: „Młodzieniec z dawnych lat", Inst. Wydawniczy „Pax", Warszawa 1970.

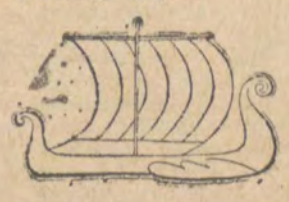

M. Kuncewiczowa i J. Kuncewicz na rynku w Kazimierzu

Fot. Tymiński

JERZY KUNCEWICZ

Myśli o nieśmiertelności

Wiedza radosna

Cieszymy się, formułując „nienaruszalne prawa natury". Mikro i makrokosmosy po to chyba łudzą, odsłaniając rąbki swych tajemnic, aby wykazać naszą bezradność wobec nieograniczoności niedostępnego i ograniczoności dostępnego.

Pojęcia nie do zgłębienia

Całość to pojęcie skończoności. W wszechświecie, gdzie nie ma granic, nie ma całości. Świat skończoności nie może się obejść bez pojęcia zera niezbędnego dla ustalenia momentu poczęcia. Nawet dla najsprawniejszych mózgów nieuchwytne jest pojęcie nieskończoności, gdyż część nie może objąć istnienia bez granic.

Subiektywna, czy obiektywna rzeczywistość?

Przeczyć subiektywnym doświadczeniom i subiektywnej rzeczywistości, dając przewagę pozornej obiektywizacji, uznając ją za rzeczywistość potwierdzoną przewodem logicznym, teorią lub dowodem matematycznym, oznacza spaczenie doznań i zastąpienie ich obrazem zdeformowanym.

Jedna z możliwości

Obliczono, sprawdzono oraz starannie i dokładnie wykonano, a rezultat wynikł nieoczekiwany. Czyżby powrót do średniowiecza z jego złośliwymi demonami? A może zbuntowała się przeciwko przypisywanym jej właściwościom i narzuconym prawom, materia, czy energia? A może zjawiło się coś bardzo odległego od naszej wiedzy i pojęć współczesnych?

Nic i coś

Jeśli materia powstaje z niczego i ginie w nicości, znaczy to, że nicość nie jest nicością, tylko czymś nieuchwytnym dla nas, nierozpoznawalnym obecnie, a może zawsze.

Materia i energia, a czas i przestrzeń

Materia, czy energia, bez względu na swoją postać czy potencjał, jest dla nas zjawiskiem naszego czasu i przestrzeni; dlatego może być używana przez nas w naszych wymiarach. Czym jest ta materia i energia poza naszą czaso-przestrzenią, na to nie mamy odpowiedzi.

Wycinki skończoności

Doskonaląc techniczne środki uzupełniające możliwości ludzkie, tworzymy w świecie nieskończoności wycinki skończoności o formach i właściwościach naszej czaso-przestrzeni. Tworzymy świat z materiału dostępnego, dając mu formy naszych potrzeb i wyobraźni. Świat, który z nas i przez nas powstaje, zginie wraz z nami, pozostawiając zamiast form naszej twórczości, jej popioły.

Zagadnienie woli

Stany woli są jedynie emanacją stanów uczuciowych, umożliwiającą zaspokojenie pożądań. Silni pragną uczty, słabi zadowalają się okruchami z pańskich stołów za cenę swoich usług.

Wyjście z kręgu skończoności

Wyjście z kręgu skończoności i wejście w krąg nieskończoności ucina związki między światem form, w którym żyjemy, a indywidualnością wyzwoloną z iluzji, w których przebywała. Ginie świat energii i materii znany nam w doczesnych formach, natomiast włączamy się w krąg doznań przekraczających wszystko poprzednio doświadczone.

*) Z pracy pod tytułem „RZECZYWISTOŚĆ A NIESKOŃCZONOŚĆ".

DOC. DR HAB. ANDRZEJ F. GRABSKI

Profesor Tadeusz Manteuffel

(1902 – 1970)

Odszedł jeden z najwybitniejszych humanistów polskich, badacz, organizator nauki, Profesor. Długa lista napisanych dzieł, piastowanych funkcji, otrzymanych odznaczeń ledwie w części pozwala uświadomić sobie rozmiar straty, jaką poniosła polska nauka historyczna. Odszedł Człowiek o niepowtarzalnej indywidualności, wielkiego charakteru, serca i umysłu, Człowiek, którego osobowość wywarła własne piętno na całym polskim środowisku historycznym. Jeśli dziś polska nauka historyczna zajmuje poczesne miejsce w nauce światowej, ogromny udział ma w tym Tadeusz Manteuffel — jako Profesor, wychowawca kilku pokoleń historyków, inspirator i przewodnik badań naukowych i ich surowy sędzia — jako badacz, autor studiów i książek, stanowiących wzór naukowej metody — i jako organizator nauki, walczący z uporem i konsekwencją o jej wszechstronny, prawidłowy rozwój.

Swą działalność pedagogiczną rozpoczął Profesor Manteuffel jako dwudziestoczteroletni doktor, rychło po powrocie z uzupełniających studiów w Paryżu, kontynuował ją potem jako docent (1930), następnie — już po wojnie — jako profesor historii powszechnej średniowiecznej w Uniwersytecie Warszawskim. W latach okupacji był organizatorem i kierownikiem sekcji historycznej tajnego Uniwersytetu Warszawskiego, po wyzwoleniu dźwignął z gruzów ukochane dzieło swojego mistrza Marcelego Handelsmana — Instytut Historyczny tegoż Uniwersytetu, którego następnie był przez dziesięć lat dyrektorem. Był organizatorem i dyrektorem Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, którym kierował do ostatnich chwil swego życia. Pełnił wysokie funkcje uniwersyteckie, jako dziekan i prorektor Uniwersytetu Warszawskiego, a także w Polskiej Akademii Nauk, jako jej członek rzeczywisty; przez pewien okres czasu członek Prezydium PAN, oraz w innych organizacjach i instytucjach naukowych, takich jak Polskie Towarzystwo Historyczne, Komitet Nauk Historycznych i Rada Archiwalna.

Był znakomitym znawcą dziejów europejskiego średniowiecza. Pierwsze jego prace dotyczyły zwłaszcza problematyki dziejów politycznych wczesnośredniowiecznej Francji: były to m. in. książki „Polityka unifikacyjna Chlotara II" (1925), „Stosunki polityczne frankońsko-włoskie w wieku VI" (1927). Później objął w swych badaniach także problematykę ustrojową, czego dowodem jest praca „Teoria ustroju feudalnego według Consuetudines Feudorum XII—XIII w." (1930). Jako dyrektor Archiwum Oświecenia Publicznego zajął się też Profesor T. Manteuffel zagadnieniami archiwistyki, w których był znakomitym specjalistą, a także opublikował bezcenną dziś, z racji zatracenia źródeł, monografię „Centralne władze oświatowe na terenie b. Królestwa Kongresowego (1807—1915)" (1929). Po II Wojnie Światowej badania Profesora ogarniały coraz szerszy krąg problematyki społecznej i ekonomicznej średniowiecza powszechnego i polskiego. Z badań nad rolą zakonów w Polsce średniowiecznej zrodziła się książka „Papiestwo i cystersi ze szczególnym uwzględnieniem ich roli w Polsce na przełomie XII i XIII w." (1955), ze studiów nad ruchami społecznymi średniowiecza europejskiego powstała głośna dziś w świecie, tłumaczona na obce języki monografia „Narodziny herezji. Wyznawcy dobrowolnego ubóstwa w średniowieczu" (1963), stanowiąca szczytowe osiągnięcie polskiej nauki historycznej w okresie powojennym.

Jako uniwersytecki pedagog szczególnie troszczył się Profesor o dostarczenie studentom odpowiednich akademickich podręczników. Sam wiele zrobił na tym polu, zarówno jako autor, jako inspirator i redaktor. Jeszcze przed wojną ogłosił zarys dziejów wczesnego średniowiecza w zbiorowej „Wielkiej Historii Powszechnej", w 1947 roku opublikował syntetyczny skrypt z historii średniowiecznej, a następnie dwie odmienne, obszerne syntezy, mianowicie „Średniowiecze powszechne" (1958) i „Historia powszechna. Średniowiecze" (1965). Był redaktorem naczelnym i współredaktorem wielotomowej, ogłaszanej przez Instytut Historii PAN od 1957 roku zbiorowej „Historii Polski" a także inicjatorem i redaktorem serii podręczników z zakresu nauk pomocniczych historii. W ostatnich latach nie stało Profesorowi czasu na kontynuowanie popularno-naukowego pisarstwa historycznego, któremu wiele uwagi poświęcał przed i w pierwszych latach po II Wojnie Światowej — książki o feudalizmie (1938, 1947), o wsi średniowiecznej (1948), popularny zarys historii średniowiecza (1947), artykuły o życiu rycerstwa i inne docierały do najszerszych kręgów czytelników.

Pisarstwo historyczne Profesora charakteryzowała oszczędność słowa, precyzja sformułowań, jasność wywodu. Był najsurowszym wrogiem wszelkiego wielosłowia, nieudokumentowania sądów, gadulstwa i blagi. Wymagał tego od siebie i od innych: zdecydowany w swych sądach nie uznawał kompromisów i uników. Podejmowane przezeń polemiki — jak pamiętna dyskusja na ogólnopolskim zjeździe w Krakowie — zapadły głęboko w umysły historyków.

Profesor odszedł — ale wartości, które reprezentował — pozostaną.

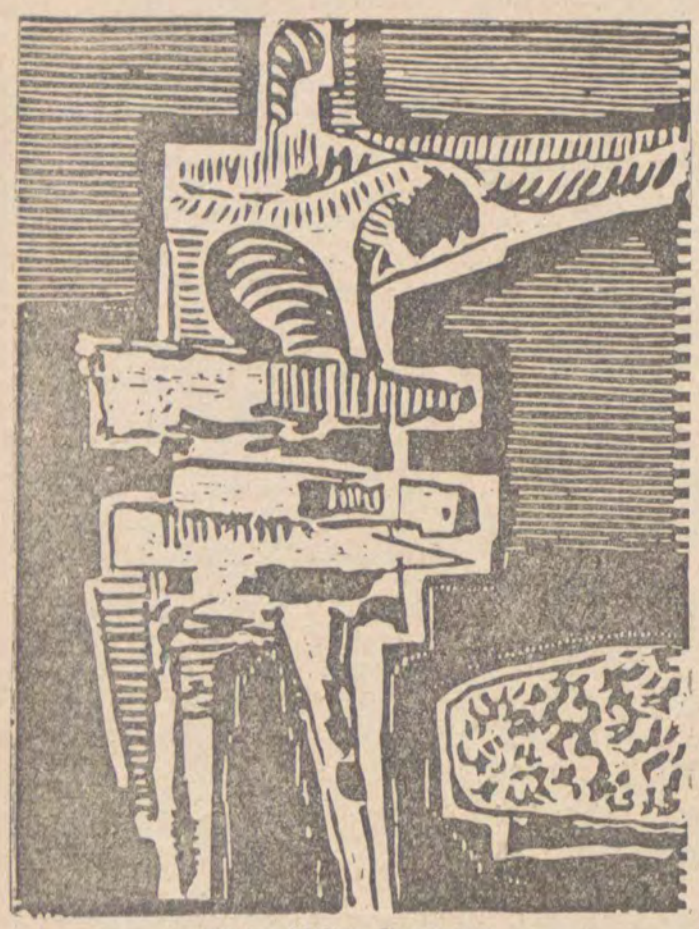

Marian Malina. Drzeworyt.

ANDRZEJ GRUN

Węgiel niejedną ma barwę

Fenomen Czarnego Śląska jest fenomenem odzyskanych ugorów — w ciągu zaledwie dwudziestu pięciu lat zakwitły na tych ugorach kwiaty nowej kultury. Śląsk, przywrócony Ziemi, wstępował na trudną drogę przebudowy politycznej, społecznej i kulturalnej, praktycznie w punkcie zerowym. Z tym większym szacunkiem musimy oceniać to, co zostało do tej pory dokonane. Inne kryteria muszą być stosowane przy ocenach. Region katowicki nie był w okresie międzywojennym „ziemią obiecaną" ludzi sztuki.

Przed wojną Katowice nie miały środowiska plastycznego nie było środowiska literackiego i muzycznego. W latach trzydziestych mieszkali tam i tworzyli malarze: J. Mroszczak, — znany dzisiaj plakacista, T. Zamiar, bracia Chorembalscy i kilku innych. Niewielkim zainteresowaniem cieszył się również krajobraz Śląska — jako temat. Kilka pejzaży przemysłowych pędzla Rafała Malczewskiego niemalże nie znanych szerszej publiczności, bo chyba nigdzie nie reprodukowanych i cykl rysunków Bronisława W. Linkego pt. „Śląsk", teka drzeworytów Stellera również nie spopularyzowana oraz w połowie stylizowane, w połowie ekspresjonistyczne portrety Ślązaków Kidonia wyczerpują właściwie indeks wartościowych ikonografii związanych ze Śląskiem.

Wiosna roku 1945 stworzyła potrzebę działania również w dziedzinie humanizacji sztuki. Działania niełatwego podwójnie, bo związanego ściśle z istotnym dla regionu, skomplikowanym problemem repolonizacji i dodatkowo — w największym skupisku klasy robotniczej. Śląsk był więc miejscem, gdzie działacz kulturalny z prawdziwego zdarzenia i twórca, twórca prawdziwie zaangażowany, stawali się szczególnie pożądanymi i potrzebnymi jednostkami. Dziś w Katowicach działa środowisko literackie z własnym wydawnictwem, środowisko muzyczne z wyższą szkołą i teatrem opery, wreszcie 500-osobowe środowisko plastyczne i Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych... Na mapie artystycznej Polski twórcy Śląska i Zagłębia zaznaczyli swoją obecność wyraźną intensywną barwą.

Śląsk można przejechać wzdłuż i wszerz tramwajem. Między miastami GOP (Górniczego Ośrodka Przemysłowego) — Gliwicami, Zabrzem, Chorzowem, Katowicami, Bytomiem nie ma właściwie wyraźnej granicy. To wielki organizm, którego mózgiem i sercem są Katowice — miasto, które w chwili obecnej jest metropolią, a którego rozwojowe plany perspektywiczne muszą imponować. Tu zbiegają się również wszystkie nerwy artystycznego i intelektualnego życia.

Widzę pewne analogie między Katowicami a Łodzią. I dlatego właśnie warto przyjrzeć się bliżej życiu artystycznego katowickiego okręgu, a szczególnie środowisku plastycznemu. Warto prześledzić, jaką rolę odgrywa tu plastyka, jakie wyznaczono jej funkcje, i czy są one spełniane. Czy wreszcie istnieje prawdziwy związek między treścią oraz formą powstającej tu sztuki a rzeczywistym charakterem i problemami regionu. Nad Łodzią ciąży bliskość Warszawy — nad Katowicami sąsiedztwo Krakowa i dodatkowo obecność Warszawy jako centrum ostatecznego. Warszawa stwarza nieustanną pokusę awansu dla tych, którzy zdobyli już pozycję. Emigracja łodzian do stolicy jest faktem znanym od lat. Katowice odczuwają presję kulturalną Krakowa, ale po awanse i sławę jeździ się jednak i stąd do Warszawy. Stolica jest stolicą...

Kiedy mówiło się o plastyce na Śląsku, przez wiele lat miało się na myśli przede wszystkim „śląską szkołę plakatu", różną od „szkoły warszawskiej", bo obejmującą swoim zainteresowaniem plakat zaangażowany, plakat polityczny. Dorobek „szkoły śląskiej" w tej dziedzinie, to żywa kronika naszego życia politycznego i społecznego. Fakt, że to właśnie na Śląsku powstał ośrodek takiego plakatu nie wymaga komentarza. Komentarza wymagają natomiast sprawy szkolnictwa artystycznego i warunków propagandy sztuki.

W Katowicach działa filia krakowskiej ASP — wydziały: grafiki artystycznej i plakatu. Ta właśnie placówka położona na peryferiach miasta, zrazu samodzielna, potem związana z Wyższą Szkołą Plastyczną we Wrocławiu, wreszcie przyłączona do akademii krakowskiej, potrafiła mimo rzeczywiście skromnych możliwości i warunków wykształcić całą plejadę wybitnych twórców plakatu, związać ich działalność ze specyfiką przemysłowego środowiska. Paradoks polega na tym, że uczelnia ta jest ciągle filią krakowskiej akademii, funkcjonującej przecież w zupełnie innych warunkach, że nie przyznano jej do tej pory autonomii. Paradoks jest tym większy, że na ASP w Krakowie istnieje wydział wzornictwa przemysłowego, a w Katowicach takiego wydziału nie ma. Więcej, nie ma żadnej placówki badawczej, która by zajmowała się problemami ingerencji plastyka w sprawy przemysłu, kolorystyki wnętrz przemysłowych itd. Przebudowuje się stare kopalnie i huty, buduje się nowe — jak prasa donosi — należące do najnowocześniejszych w Europie. Ale czy rzeczywiście nowoczesne także pod względem kolorystycznym i plastycznym (wszak to na świecie cały osobny dział nauki!)? Z tym bywa różnie. Ingerencja plastyka w projektowanie czy renowację wnętrz przemysłowych jest ciągle fragmentaryczna i przypadkowa. Poza tym plastycy śląscy nie są do tego rodzaju zadań przygotowani i z reguły wyręczają ich w tym koledzy z Warszawy lub Krakowa.

Katowice i cały region odczuwają dotkliwie brak „zaplecza" humanistycznego, a mianowicie uniwersytetu. Bo je o taką placówkę toczą się od dawna. Wyższa Szkoła Pedagogiczna, mała uczelnia plastyczna i muzyczna, Biblioteka Śląska nie są w stanie wypełnić tej luki. Brak jest teatrów. Gliwice na przykład — miasto Politechniki i biur projektowych — posiadają tylko operetkę i efemeryczne teatrzyki studenckie. Przed wojną w Katowicach mieściło się Muzeum Górnośląskie, które Niemcy obrabowali i zniszczyli niemal doszczętnie. Po wojnie gmachu nie odbudowano. Samo Muzeum przeniesione zostało do Bytomia (do tej pory panuje zdziwienie — dlaczego?), a tym samym odsunięte od centrum kulturalnego, ograniczając przez to skalę swego oddziaływania, mimo cennych zbiorów, które się tam znajdują (m. in. kolekcja młodopolskiego malarstwa). Katowice posiadają zaledwie dwa małe saloniki wystawowe. I tak Ogólnopolskie Biennale Plakatu odbywa się w korytarzach Prezydium Rady Narodowej, albo w szkole plastycznej — małej i leżącej na peryferiach. Doroczne wystawy związkowe organizowane są w Muzeum Bytomskim — są więc niemal nie oglądane. Całe szczęście, że w Gliwicach, Zabrzu i Chorzowie działają małe sale wystawowe, jak raz na indywidualne ekspozycje.

Mimo tych trudności Biuro Wystaw Artystycznych działa intensywnie wystawiając w świetlicach, domach kultury, klubach przyzakładowych. Liczba takich właśnie wystaw jest imponująca. Ale mimo, że brak jest odpowiedniego miejsca na ekspozycje — Biennale Plakatu odbywa się regularnie i zdobywa sobie coraz wyższą rangę. W poszukiwaniu rozwiązań tej trudnej sytuacji wykorzystano Chorzowski Park Kultury i Wypoczynku jako teren stałej ekspozycji plenerowej — tu właśnie jest zalążek przyszłej Galerii Rzeźby Śląskiej. Wyjątkowo pozytywne stanowisko zajęła również katowicka Pracownia Sztuk Plastycznych, która własnym sumptem „utrzymuje" jedną z dwóch galerii w mieście. (Suma roczne go wkładu w tę imprezę waha się w granicach 100.000 złotych). Fakt ten zasługuje na uwagę tym bardziej, że PSP cieszy się we wszystkich ośrodkach smutną sławą bastionu chałturzystów. (Nie mogę powstrzymać się, żeby nie wtrącić na marginesie — a może by tak i w Łodzi PSP o czymś podobnym pomyślało? Przepraszam za tę dygresję, przecież tu chodzi o pieniądze. To prawdziwy nietakt z mojej strony).

Byłoby jednak niesprawiedliwością nie dopowiedzieć pewnych rzeczy do końca. Czynione są intensywne starania o usamodzielnienie szkoły katowickiej i o utworzenie tam wydziału wzornictwa przemysłowego. W niedalekiej przyszłości stanie w Katowicach Galeria Sztuki z prawdziwego zdarzenia. Ocena działalności śląskiego środowiska plastycznego musiała widocznie wypaść pozytywnie. I postawa tegoż środowiska budzi szacunek. Dali z siebie wiele, teraz mają prawo żądać. Zagadnienie kontaktu plastyków ze środowiskiem robotniczym do chwili obecnej rozwiązywano na Śląsku ogólnie przyjętymi metodami — wystawy w domach kultury, klubach przyzakładowych i plenery tak usytuowane — że twórcy mogli wchodzić na teren kopalni czy huty i tam szukać tematu. Organizowane są dodatkowo konkursy tematyczne. Konkursy na grafikę miesiąca. Na pomysł urządzenia Sympozjum Rzeźby w Węglu nikt na szczęście do tej pory nie wpadł. Natomiast zorganizowano w 1968 roku w Katowicach pierwsze Spotkanie Twórców i Teoretyków Sztuki. Byli tam ci wszyscy, którzy uczestniczą w analogicznych spotkaniach w innych ośrodkach. Mówiono to samo, co powtarzano przy innych tego rodzaju okazjach. Odbyła się też wystawa, a w katalogu wystawy znalazłem nazwisko łódzkiego plastyka, Benona Liberskiego.

Niedawno w Muzeum Bytomskim odbyła się wystawa z okazji 25-lecia plastyki w województwie katowickim. Wystawa — dokument, która przypomina pewne fakty, dziś zapomniane. To na Śląsku właśnie w 1956 roku najwcześniej powstał zorganizowany bunt przeciw dogmatycznym koncepcjom realizmu socjalistycznego sformułowany w wystąpieniach Grupy St — 53, nawiązującej do Strzemińskiego i jego teorii widzenia. To był drugi Arsenał. W Katowicach w 1955 roku odbyła się wystawa prac Zdzisława Lachura pt „Alkoholizm", która fascynowała wtedy żarliwym zaangażowaniem. Potem był jego cykl „Getto" i dramatyczny zestaw prac „Konie". Wreszcie na Śląsku właśnie do tej pory działają dwie zorganizowane grupy: Grupa BESKID (od 1961 roku) i grupa ARKAD (od 1964 roku). Ta ostatnia nawiązuje w swoich programach i pracach wyraźnie do tradycji polskiego formizmu.

To wspominki na marginesie. Ważne jest, że pejzaż śląski zajmuje w twórczości plastyków Zagłębia miejsce pierwsze. I to nie w twórczości konkursowej, okolicznościowej, ale w twórczości na co dzień. Ludzie, którzy tam malują i rzeźbią zdają sobie sprawę co winni są Ziemi, na której mieszkają. Obrazy, które ogląda się na wystawach na przykład okręgu łódzkiego, równie dobrze mogłyby powstać w Pernambuco. Większość tych, które powstają w pracowniach śląskich plastyków, mają na sobie wyciśnięte piętno Śląska. Nie oceniam, czy są dobre czy złe. Odkrywam tylko ich silny związek z miejscem, w którym powstały. To zasługuje w moim odczuciu na szacunek. Bolączki administracyjne są takie same jak w Łodzi, Wrocławiu czy Lublinie... Inna jest natomiast postawa ludzi, tworzących na tych ziemiach sztukę.

KAZIMIERZ PASZKOWSKI

Ze wspomnień wydawcy (III)

W latach 1912—14 prosperował we Lwowie jedyny wówczas kabaret artystyczno-literacki „Ul." Mieścił się w podziemiach gmachu „Assicurazioni Genezali" przy ulicy Kopernika 3. W tymże domu mieściła się, też księgarnia Karola Juffy, prowadząca największy we Lwowie asortyment książek niemieckich, z dziedziny humanistyki, literatury i sztuki. Właściciel jej, zmarły w roku 1915, prowadził ją wzorowo, znał gruntownie język angielski i niemiecki.

Kabaret „Ul" rozpoczął swą działalność tzw. programem „składankowym", na który składały się występy poszczególnych artystów. Dziś już nie pamiętam kto był założycielem tego pierwszego we Lwowie artystycznego kabaretu, wiem jednak że pierwsze skrzypce reprezentował w nim radca Izby Skarbowej i lwowski poeta, Henryk Zbierzchowski. Miał niezwykłą łatwość rymowania: mógł dziennie napisać nawet kilka całych utworów mową wiązaną. Był początkowo jedynym akompaniatorem w „Ulu", który w okresie rozwoju dysponował tylko skromną scenką i pianinem. W jednym z późniejszych programów wystąpił „Ul" z prawdziwą rewelacją. Był to przywieziony świeżo przez Zbierzchowskiego z Paryża: „Valse brune" — Walc Nocy — oryginalny tekst i układ muzyczny według motywów paryskich — Henryka Zbierzchowskiego. Utwór ten śpiewała cała Francja, był tam niezwykle popularny, ale we Lwowie był nowością. Wkrótce też przyjął się w całej ówczesnej Galicji i w Królestwie, a po premierze w „Ulu" księgarnia Karola Juffy wydała go w kilkunastu nakładach. „Walc Nocy" wykonał po raz pierwszy Franciszek Freszel, późniejszy, znakomity baryton opery warszawskiej. On i Ludwik Lawiński rozpoczynali swą artystyczną karierę w „Ulu".

A oto refren tego słynnego walca, który potem jeszcze przez długie lata rozbrzmiewał, grywany na katarynkach:

„Gdy ciemność zapada
I światła latarń zapłoną,
Do naszych serc się zakrada
Jakaś tajemna moc.
Hej serce nam bije,
W wódce niech troski zatoną,
Szerzej i piękniej się żyje,
Cudną, ach cudną jest noc!"

Cały tekst tego walca pamiętam do dnia dzisiejszego i „Polskie Nagrania" powinny go wznowić, bo może liczyć na powodzenie.

Boy-Żeleński, obecny na jednym z przedstawień, w ten sposób sparodiował refren „Walca Nocy".

„Gdy ciemność zapada,
Nim światła latarń pogasną,
Wieszcz po melodię się skrada,
By wydrukować jak własną."

Pewnego razu przyjechał do Lwowa warszawski „Momus", by wystąpić w „Ulu" z własnym programem. Przybyli: Józefa Borowska, Cyryl Danielewski, Wacław Kaliciński, mąż Borowskiej — Bolesta i inni, których nazwisk już nie pamiętam. Warszawski „Momus" dał świetny pokazowy program i gościł w „Ulu" przez czas dłuższy.

Szczególnym powodzeniem cieszyły się występy Borowskiej i komika Wacława Kalicińskiego. Borowska parodiowała słynną francuską pieśniarkę Yvette Gilbert, występując w stylowych kostiumach. Kaliciński był świetnym parodystą i komikiem „Momusa". Zmarł nagle zaledwie w 40 roku życia.

Księgarnia Karola Juffy, oprócz „Walca Nocy" wydała w roku 1912 niezmiernie ciekawą i oryginalną książkę pt. „Śpiewające Przedmieście". Autorem jej był Stefan Wędrowny.

Pod tym pseudonimem ukrył się — Stanisław Wasylewski.

„Śpiewające Przedmieście" — to jedyny i bardzo rzadki dziś zbiór piosenek batiarsko-chuligańskich — z zaułków i przedmieść dawnego Lwowa. Na przełomie XIX i XX wieku był Lwów, podobnie jak Paryż, miastem pieśni, pieśni typowo ulicznych.

Z przedmieść, zaułków, spod mostów Paryża, z knajp i suteren. Pod tym względem był Lwów takim miniaturowym Paryżem, z tą jednak różnicą, że pieśni lwowskich batiarów, chuliganów i tzw. „polskich braci" powstawały anonimowo i odznaczały się swoistą lwowską gwarą.

Język to bardzo ciekawy i oryginalny. Źródła jego sięgają początku XIX wieku, a jak podaje Karol Estreicher, autor wielkiej Bibliografii Polskiej, „Słownik Gwary Złodziejskiej" powstał w Wiśniczu, gdzie mieściło się ciężkie więzienie. Karol Estreicher jest też autorem tego „Słownika", który ukazał się w oddzielnym wydaniu książkowym i byłem kiedyś w jego posiadaniu. Oprócz Estreichera, jakiś nadkomisarz c. k. policji we Lwowie wydał oddzielnie „Kodeks Złoczyńców".

Przez szereg lat język ten przechodził rozmaite metamorfozy, rodziły się nowe określenia, powiedzonka i synonimy, tak, że w końcu powstała charakterystyczna „lwowska gwara" nieznana już gdzie indziej, choćby np. w Krakowie.

Gdy galicyjscy książęta i hrabiowie korzyli się w delegacjach, bądź też samopas i po sam pas przed cesarzem Franciszkiem Józefem, powtarzając często: Przy Tobie Najjaśniejszy Panie wiernie stoimy, ludek lwowski „bimbał" sobie z władz austriackich, z policji i wojska, często też z wojska dezerterował i wśród powszechnie znanej nędzy galicyjskiej, żył sobie zawsze na wesoło.

I choć Lwów nie miał prawie żadnego przemysłu, bo władze zaborcze nie kwapiły się do uprzemysłowienia Galicji, batiar lwowski zawsze jakoś dawał sobie radę. Co robił?

„W lecie koźlarzem,
W zimie węglarzem,
A zawsze geldy na browar ma."

A gdy nadeszła sobota, trzeba było widzieć jak wesoło płynęło ży-

MARIUSZ ADAM JAKUBOWSKI

Kłopoty wynalazców

Rozwiązania techniczne i technologiczne stale i coraz szybciej rozwijają się i doskonalą. Postęp techniczny jest zjawiskiem ogólnoświatowym, nie można więc utrzymać się na poziomie „nowoczesności", nie doskonaląc aktualnie istniejących rozwiązań technicznych. I tu konieczne jest stworzenie ram organizacyjno-prawnych, sprzyjających rodzimej wynalazczości i tzw. ruchowi racjonalizatorskiemu. Ruch racjonalizatorski i wynalazczość pracownicza nabierają coraz większego znaczenia wraz ze wzrostem postępu technicznego w produkcji.

Zaobserwować można w zakładach produkcyjnych niejednokrotnie zły stan techniczny maszyn i urządzeń, co hamuje pełne wykorzystanie mocy produkcyjnej, a w nowym systemie zachęt materialnego zainteresowania, postęp techniczny i wykorzystanie mocy produkcyjnej, to jedno z najważniejszych zadań odcinkowych.

Aby ożywić i ułatwić ruch racjonalizatorski stworzono zakładowe kluby techniki i racjonalizacji, określając tym samym formalne uprawnienia organizatorów, których projekty zostały z pożytkiem zrealizowane, do udziału w osiągniętych przez to oszczędnościach w produkcji. Działalność klubów ma ułatwić realizację wniosków z organizacyjno - administracyjnego punktu widzenia. Cóż, kiedy kluby ułatwiają drogę realizacji pomysłów-wynalazków, a kierownictwa przedsiębiorstw nie zawsze chętnie ustosunkowują się do angażowania funduszów na udoskonalenia tłumacząc się obawą przed ryzykiem, jakie niesie ze sobą każda nie wypróbowana nowość.

Przed gospodarką narodową stoi zadanie znacznego zwiększenia, w nadchodzącym planie 5-letnim, wydajności pracy. Trzeba więc szukać rezerw. Niewątpliwie obok poprawy organizacji pracy czy zmian technologicznych wzrost wydajności pracy może zapewnić rozwój ruchu wynalazczego i racjonalizatorskiego. Od wielu jednak lat liczba zgłoszonych projektów wynalazczych wskazuje niewielką tendencję zniżkową. Co prawda wzrasta ilość projektów przyjętych do zastosowania i aktualnie ocenia się, że ponad 72 procent zgłoszonych projektów znajduje praktyczne wykorzystanie, gdy przed kilkoma jeszcze laty odrzucano około 35 procent wszystkich zgłoszonych projektów. Wzrasta także efektywność zastosowanych projektów, co jest czynnikiem bardzo ważnym w planowym rozwoju wynalazczości pracowniczej.

Mimo niewątpliwych osiągnięć ruchu racjonalizatorskiego, największą słabością jest jego nikła powszechność. Destruktywnie wpływa na to niechęć finansowania tego ruchu z funduszu zakładowego. Wiąże się to bowiem z ryzykiem poniesienia strat, a przez to obniżeniem i tak niewielkiego funduszu, a nawet narażeniem się na zarzut lekkomyślnej gospodarki.

Nowy system zachęt materialnego zainteresowania opiera się między innymi na wzroście postępu technicznego, na lepszej wydajności pracy i efektywności działalności przedsiębiorstwa. To są przecież czynniki zachęcające do rozwoju wynalazczości. Nie tylko korzyści materialne rzutują na zainteresowanie wynalazczością ze strony pracowników zakładu. Wpływają tu również czynniki socjologiczne i psychologiczne. Zadowolenie z pracy i moralna nagroda w postaci uznania kierownictwa zakładów na pewno przyczynia się do większego zbliżenia i przywiązania pracownika do zakładu pracy.

Obecnie w fazie ostrej konkurencji światowej istotnym czynnikiem stać może się powszechnie rozwinięta wynalazczość i racjonalizacja zarówno jako bezpośredni element rozwoju techniki, jak i ważny element społeczno-wychowawczy. W ogólnym dorobku wynalazczym poważną pozycję ma racjonalizacja pracownicza w dziedzinie bezpieczeństwa i higieny pracy. Wiele spośród tych pomysłów wymaga upowszechnienia, gdyż dotyczą udoskonaleń powszechnie stosowanych technologii z punktu widzenia bezpieczeństwa pracy i ochrony zdrowia załóg pracowniczych. Rozwojowi racjonalizacji sprzyja skuteczna działalność NOT i związków zawodowych, oparta na dostosowanych do potrzeb przepisach prawnych. Przepisy te znajdują swoje podstawy w Konstytucji PRL. Podkreślają one zadania państwa w dziedzinie postępu technicznego, kładąc nacisk na funkcję gospodarczo-organizacyjną i kulturalno-wychowawczą oraz na pomoc, jaką powinno się okazywać wynalazcom i racjonalizatorom. Przepisy prawne regulują:

— pracę nad projektami wynalazczymi

— stosowanie projektów wynalazczych w produkcji

— ochronę osobistych i materialnych praw twórców

— ochronę praw wyłącznych, powstających z patentów i świadectw ochronnych.

Całość przepisów dotyczących racjonalizacji znajduje się w Ustawie z dnia 31 maja 1962 roku. Ponadto Komitet Nauki i Techniki opublikował pismo okólne nr 1 z dnia 10 kwietnia 1967 w sprawie przyznawania ze środków funduszu postępu techniczno-ekonomicznego nagród za wybitne osiągnięcia na polu racjonalizatorskim. Przepisy te, choć dokładnie normujące ruch wynalazczy, są ciągle nie wykorzystane przez administrację gospodarczą i aktyw społeczny. Chodzi przede wszystkim o to, aby zagwarantowany tryb przyjmowania i oceny projektów wynalazczych, odbywał się zgodnie z tymi przepisami. W praktyce spotykamy się jednak ze zbyt opieszałym rozpatrywaniem wniosków wynalazczych. Tryb ten jest bardzo przewlekły, co może i niewątpliwie wpływa zniechęcająco szczególnie na młodych racjonalizatorów.

Mówiąc o niedostatkach ruchu racjonalizatorskiego należy pamiętać, że pomoc kół NOT, Klubów Techniki odpowiednich komisji związków zawodowych jest niezbędna i potrzebna w celu informacji, udzielenia fachowych porad z zakresu dokumentacji, realizacji i uzyskania należytego wynagrodzenia.

Aby poprawić sytuację rodzimej wynalazczości i ruchu racjonalizatorskiego, trzeba zwrócić uwagę na:

— popularyzację racjonalizacji w przedsiębiorstwach

— wytworzenie sprzyjającej atmosfery wokół tego ruchu

— zobowiązanie odpowiednich komórek i intytucji do udzielania opieki i pomocy pracownikom - racjonalizatorom

— programowanie i kierunkowanie ruchu racjonalizatorskiego

Wiąże się z tym ściśle wydawanie biuletynów informacyjnych, co ma miejsce w niektórych zakładach, a także ogólna atmosfera w zakładzie, klimat stosunków międzyludzkich, a więc m. in. model działania zakładowych organizacji partyjnych i społecznych. Organizacje te mają być konstruktywnym pośrednikiem między pracownikami a dyrekcją, a także występować mają jako samodzielny uczestnik procesu wychowawczego w zakładzie. Bardzo istotne wydaje się także zwrócenie uwagi, że tej właściwej atmosferze stosunków międzyludzkich muszą towarzyszyć materialne fakty, dowodzące troski o pracownika. Inaczej mówiąc, nie wystarczy sama atmosfera szczerego nawet zainteresowania, jeśli w zakładzie panować będą złe warunki pracy, jeśli praca będzie niebezpieczna i zbyt ciężka. Istnieje tu ścisła i nierozerwalna korelacja.

Czy znasz architekturę Łodzi?

Publikujemy dziś na pierwszej stronie kolejne zdjęcie w naszym konkursie. Zadanie dla naszych Czytelników jest proste — jaka to budowa?

Odpowiedzi prosimy nadsyłać na adres: Łódź, „Odgłosy", Piotrkowska 96 — tylko na kartkach pocztowych. Konkurs trwa osiem tygodni, ale odpowiedzi można nadsyłać co tydzień.

Na naszych Czytelników czekają nagrody w postaci bonów towarowych wartości:

I nagroda — 1500 zł
II nagroda — 1000 zł
III nagroda — 700 zł

oraz pięć wyróżnień w postaci wydawnictw albumowych.

POLONICA

IWASZKIEWICZ PO FRANCUSKU

Paryski „Le Monde" przynosi w numerze z 5 września notatkę o ukazaniu się w wydawnictwie „Stock" opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza „Kochankowie z Marony", w tłumaczeniu i z przedmową Anny Posner (179 stron, cena 19 franków). Notatka „Le Monde" dodaje, że jest to autor „Matki Joanny od Aniołów", z której zrobiono film, pamiętny dla francuskiej widowni.

Warto dodać, że już w latach międzywojennych ukazał się nakładem firmy F. Rieder et Cie, „Hilary syn buchaltera", przełożony znakomicie przez matkę znanego poety, Gabriela Karskiego, Marie Depuichault, pisarkę i aktorkę. Książka wyszła w serii „Prosateurs Etrangers Modernes", zawierającej też rzeczy Hamsuna, fińskiego autora Linnakoskiego, Schnitzlera, Schickelego, Stephensa i — Róży Luksemburg. Kilka lat później „Panny z Wilka" przełożył dla „Editions Sagittaires" Paul Cazin. W antologii poezji polskiej, opublikowanej przez Editions du Seuil w roku 1965, figuruje siedem wierszy Iwaszkiewicza, tłumaczonych przez Anne Marie de Backer, Pierre Besse'a i Michela Manoll. Dodajmy „Matkę Joannę" oraz „Chopina", przełożonego przez Jerzego Lisowskiego, które to książki zdobyły we Francji spory sukces.

Niewątpliwie jednak „Kochankowie z Marony" przyczynią się do poważniejszego zaznajomienia francuskiej publiczności z dziełem naszego twórcy, którego również i inne pozycje, zwłaszcza „Sława i chwała", „Brzezina" i „Nowele włoskie" mogłyby zyskać uznanie nad Sekwaną i ułatwić wysunięcie kandydatury polskiego pisarza do na pewno mu przysługującej nagrody Nobla. Warto by pomyśleć i o tym, by sceny paryskie zainteresować np. „Latem w Nohant', „Weselem pana Balzaka", czy „Kosmogonią".

W. N.

WYSTAWA PLAKATU

W Weimarze czynna była przez cały lipiec wystawa plakatu antyhitlerowskiego, w której wzięli udział graficy polscy, słowaccy, czescy i niemieccy. Tematem ekspozycji był ruch oporu w czasie wojny, ale także problemy odradzającego się faszyzmu pod każdą postacią. Nie zabrakło więc obrazów z amerykańskiej wojny w Wietnamie i takich, które pokazują tendencje odwetowe w NRF. Berliński tygodnik „Sonntag" (z 19 lipca br.) zrecenzował tę wystawę i zamieścił reprodukcję plakatu Romana Cieślewicza pt. „Zapomnieli?" Wystawa ta zorganizowana została z okazji 25 rocznicy wyzwolenia spod przemocy hitlerowskiej. Jak notuje wspomniany tygodnik niemiecki, ekspozycja weimarska cieszyła się dużym powodzeniem.

jk.

MERIMEE A MICKIEWICZ

W „Le Monde" z 4 lipca ukazał się artykuł pt. „Merimée i Mickiewicz". Czytamy tu, że Polacy uczcili 100-lecie śmierci wielkiego francuskiego pisarza, publikując w przekładzie Leopolda Staffa, z przedmową Andrzeja Biernackiego, nowelę Merimeego „Lokis", jedno z ostatnich jego dzieł. „Le Monde" przypomina, że Merimée gorąco się interesował polską poezją, szczególnie Mickiewiczem, a podczas pisania noweli „Lokis" korzystał ze wskazówek Edmunda Chojeckiego, czytając również jego dzieło, wydane po francusku „La Pologne captive et ses trois poètes" (Polska w niewoli i jej trzej poeci"). Merimée poznał m. in. „Pana Tadeusza", a obszernie cytował „Trzech Budrysów". Szkoda tylko, że autor artykułu nie wspomina o przekładach Boya („Kolomba") oraz przedstawieniach polskich „Teatru Klary Gazul", studiach prof. Brahmera, jak również o tym, że może z inspiracji Merimeego, przyjaciół jego, Stendhal, myślał o napisaniu sztuki, dziejącej się w Warszawie.

(W. N.)

POLONICA

---

cie we wszystkich lwowskich knajpach i jakie piękne lwowskie „sztajerki" „wycinali" na harmoszkach grajkowie. Bo sobota — to najważniejszy dzień dla lwowskich „batiarów".

„Każdy z nas w sercu tę nadzieję chowa,
Że kiedy przyjdzie sobota,
Cieszyć się będzie Bombach i Wangowa,
Cieszyć się lwowska hołota".

Trzeba przyznać, że fragment jak na anonimowego autora — wcale zgrabny. Początkujący lwowski batiar, gdy ukończył 20 lat, nosił już kapelusz na bakier i szukał sposobności, by gdziekolwiek „zawiązać pluskwę" czyli wszcząć awanturę. Czy to na jakimś podmiejskim festynie, czy na „drewnianej sali", czy też na jakimś „Szwenderbalu".

Pewnego razu kabaret „Ul" zaimprowizował swoim bywalcom pewien ciekawy „numer", który nie figurował w programie. Po ogrodach miejskich, w Lasku Janowskim, na Łyczakowie, na Kleparowie i w innych dzielnicach na przedmieściu, wałęsał się stale mały, bardzo szczupły mężczyzna lat około czterdziestu, z zawodu „Szwedryga" czyli mistrz dratwy i pocięgla, który w ogóle nie uprawiał swego zawodu, ale po prostu żył z „poezji". Miał przedziwną, rzadko spotykaną, łatwość improwizacji. Mógł mówić i śpiewać wierszem na podany mu temat nawet przez dłuższy czas i wcale się nie zająknął. Utrzymywał się przyśpiewując po ogrodach siedzącym na ławkach zakochanym parom lub też śpiewał własne piosenki po licznych knajpach, gwoli rozweselenia gości.

Otóż w pewnym programie „Ulu" na którym byłem obecny, po przerwie, konferansjer Ludwik Lawiński zapowiedział:

„Pragnąc naszym miłym gościom sprawić niespodziankę, zaprosiliśmy dziś na jedyny występ gościnny pana X. Y., który choć mały wzrostem, jest największym improwizatorem naszego miasta.

Pan X. Y. będzie improwizował na podane mu przez naszych gości różne tematy, a następnie odśpiewa kilka własnych i obcych piosenek ze wszystkich krańców naszego grodu."

Na scenę wszedł niski i blady mężczyzna w wypożyczonym fraku, który na pewno włożył po raz pierwszy w swym życiu i nieśmiałym krokiem zbliżył się do proscenium. Przez chwilę namyślał się, po czym zaczął recytować:

W kabareci,
Tam duch wysoko leci,
To całkiem inne pole,
Aniżeli szewskie branzole."

I tak przez kilkanaście minut improwizował o Lwowie, miejskich dygnitarzach, miejskim bałaganie, o aktorkach i aktorach Miejskiego Teatru, a na koniec o „Ulu". Po tej recytacji wstępnej, improwizował bardzo zgrabnie na podawane mu przez publiczność tematy, czym wzbudził ogólne zdumienie, w końcu odśpiewał słabiutkim głosem kilka swoich i batiarskich piosenek.

Onego wieczoru żaden artysta „Ulu" nie otrzymał takiego brawa, jakim obecni na przedstawieniu pożegnali jedyny występ małego szewca, ale zadziwiająco utalentowanego improwizatora.

Przed pierwszą wojną światową występowała gościnnie we Lwowie, przejazdem ze Stanów Zjednoczonych największa polska śpiewaczka koloraturowa, lwowianka i uczennica prof. Walerego Wysockiego, genialnego pedagoga polskiej wokalistyki — Marcelina Sembrich-Kochańska. Śpiewała zawsze na cele dobroczynne. Rejestr jej głosu obejmował przeszło dwie i pół oktawy, a był tak piękny i tak umiała nim władać, że zaliczono ją słusznie do największych śpiewaczek koloraturowych w skali światowej.

W roku 1911 wystąpił gościnnie we Lwowie słynny wiedeński tenor, Leo Slezak k.u.k. Kammersanger, czyli cesarsko-królewski śpiewak nadworny.

Na scenę starego teatru im. H. Skarbka wszedł potężny, otyły, prawie dwumetrowego wzrostu mężczyzna, w towarzystwie swego akompaniatora, Oskara Dachsa. We fraku i w kołnierzyku tzw. „Vater-morder", rozpoczął Slezak swój koncert potężnym, wspaniałym tenorem. Rzecz charakterystyczna, że ten dramatyczny tenor o niezwykłej sile głosu, śpiewał z równym powodzeniem partie lirycznych tenorów, jak np.: Fausta lub Rudolfa w operze „Cyganeria".

Sukces odniósł olbrzymi. Koncert urządziło biuro koncertowe Turcka. Kilka lat później, słyszałem jeszcze tego wspaniałego tenora w Wiedniu.

Ów koncert we Lwowie i w Przemyślu z roku 1911 wspomina Slezak w 2 tomach swoich Pamiętników, które ukazały się po pierwszej wojnie światowej pt. „Meine samtlichen Werke". Barwnie i z humorem opisuje autor swe artystyczne przeżycia i wspomnienia, a na szczególną uwagę polskiego czytelnika zasługuje bardzo ciekawy epizod z pobytu Ślezaka w Paryżu, w zamku Jana i Edwarda braci Reszke, światowej sławy polskich śpiewaków z Warszawy.

Jan Reszke był tenorem, pobierał na owe czasy większe honoraria niż król tenorów Enrico Caruso, poza tym był nasz wspaniały tenor znakomitym pedagogiem sztuki wokalnej i artystycznym doradcą wielkich śpiewaczek i śpiewaków. Slezak, choć już wtedy cieszył się światową sławą, przybył do Reszków do Paryża, by pod patronatem Jana, studiować niektóre partie operowe. Trzeba tu wyjaśnić, że Slezak rozpoczął swą karierę śpiewaczą jako uczeń ślusarski i gefreiter c.k. armii austriackiej. Bawiąc w zamku braci Reszków w Paryżu, opisuje Slezak pewien bankiet, na którym i on był obecny.

Gościli na tym bankiecie największe śpiewaczki i śpiewacy świata jak: Amelita Galli-Curci, Enrico Caruso, Fiodor Szalapin, Adam Didur i inni. Na takie przyjęcie — pisze Slezak — nie zdobyłby się wówczas żaden dwór cesarski czy królewski w Europie. Dania podawano na złotych półmiskach i talerzach, a za każdym gościem stał w złoconej liberii kamerdyner, do usług gościa na każde skinienie. Pobyt u braci Reszków ich serdeczność i gościnę, określił Slezak jako swe „największe artystyczne przeżycie".

Przed pierwszą wojną światową przyjeżdżał do Lwowa na gościnne występy, lwowianin, Adam Didur bas światowej sławy i uczeń Walerego Wysockiego. Po Fiodorze Szalapinie, opera nowojorska „Metropolitan House" zaangażowała Didura na trzyletnie „Staggione", gdzie cieszył się ogromnym powodzeniem, nie zapominając jednak o Lwowie. Rozbijał się po mieście własnym samochodem zawsze w towarzystwie swej żony, małej, fertycznej Kreolki, a czasem widywano go w towarzystwie Walerego Wysockiego, swego mistrza, któremu Didur wszystko zawdzięczał.

Muzyka w Łodzi

Milion na widowni

Teatr Wielki przygotowuje się do niewielkiej może, ale symptomatycznej uroczystości: powitania milionowego widza. Bez mała czteroletnia działalność placówki, to nie tylko określona liczba premier, przedstawień, sukcesów wielkich i mniejszych, dni powszednich i świątecznych, ale również określona liczba ludzi, którzy zajęli miejsca na widowni. Którzy przyszli tu jako dojrzali odbiorcy sztuki operowej, albo jako nowicjusze. Wśród nich przede wszystkim młodzież, przybysze spoza Łodzi, a może także i łodzianie. Dla niektórych wizyta w Teatrze Wielkim była pierwszym zetknięciem z operą, może staną się jej nowymi, zagorzałymi entuzjastami.

Teatr prowadzi trzy formy sprzedaży abonamentowej biletów: abonamenty zakładowe, premierowe i szkolne (w sezonie odbywa się około 40 przedstawień dla szkół). Ponad 20 procent widowni stanowią przybysze spoza Łodzi, w tym ponad 6 procent — spoza województwa łódzkiego, z różnych stron kraju. Obawy o zapełnienie olbrzymiej widowni Teatru Wielkiego na razie nie mają podstaw. A to „na razie" wkrótce będzie miało cztery lata. Czteroletnie doświadczenia nauczyły zapewne kierownictwo Teatru jak frekwencję zdobywać, jak ją utrzymywać.

Można tak czy inaczej oceniać poszczególne pozycje repertuarowe, ale zawsze przyznać trzeba, że kierownictwo Teatru wykazuje inwencję, prężność, rozmach, ambicję, przejawiające się m. in. w podejmowaniu inicjatyw, nawiązywaniu kontaktów krajowych i zagranicznych. Choćby niedawne przedstawienie plenerowe „Strasznego dworu", które stało się bardzo udaną imprezą i forma ta będzie kontynuowana w przyszłym roku. Jak choćby Łódzkie Spotkania Baletowe, które — jak się wydaje — weszły na stałe do tradycji muzycznej Łodzi, a które dają nam możność orientowania się w polskiej sztuce baletowej, a także oglądania baletów zagranicznych. Jak choćby kontakty z zagranicznymi teatrami baletowymi. Łódzcy soliści wystąpią w tym sezonie w operach ZSRR (Tbilisi), NRD (Lipsk), Rumunii (Cluj) i Bułgarii (Ruse). Trwa stała współpraca z operami w Lipsku i Tbilisi, projektowana jest współpraca z NRF (Duesseldorf) i LSRR (Wilno). Na tej wymianie korzysta i widz łódzki, oglądający tu solistów i zespoły zagraniczne.

I jakby na marginesie podstawowej działalności Teatru, akcje popularyzujące sztukę operową, jej poszczególne dzieła i wykonanie: „Koncerty przy świecach" w kawiarni „Teatralna", spotkania w Klubie MPiK i Klubie Studenckim „77" — z udziałem realizatorów i wykonawców łódzkich przedstawień, z dyskusją.

Na bieżący sezon przewiduje się sześć premier. Pierwszą z nich, wystawioną 17 października, będzie „Tryptyk baletowy", obejmujący pozycje polskie: „Wesele w Ojcowie" Kurpińskiego, „Na posterunku" Moniuszki i „Harnasie" Szymanowskiego. Dwa pierwsze balety opracowuje Janina Jarzynówna-Sobczak, trzeci — Witold Borkowski, scenografię — Adam Kilian, muzykę — Arkadiusz Basztoń. „Wesele w Ojcowie" uważane jest za pierwszy polski balet klasyczny, „Harnasie" — za początek współczesnego baletu. Prapremiera „Wesela" odbyła się w 1938 roku w Poznaniu, polska prapremiera „Harnasiów" (po wcześniejszej o rok hamburskiej) również w 1938 w Poznaniu, obydwie pod kierownictwem muzycznym dr Zygmunta Latoszewskiego.

Prawdopodobnie już w listopadzie do repertuaru Teatru Wielkiego wejdzie „Aida" Verdiego. Kierownictwo muzyczne tej pozycji spoczywa w rękach dyr. Latoszewskiego, reżyseria — Romana Sykały, scenografia — Henri Poulaina. Czytelnicy warszawskiej prasy popołudniowej (nie wymienię nazwy ze strachu, bośmy się ostatnio tej prasie bardzo narazili) spodziewają się zapewne „Aidy" ze zbiorowym strip-teasem, fontanną oraz piramidami na scenie. Nie będzie strip-teasu, ale podobno nie ma czego żałować. Polscy obywatele, którzy na Zachodzie przede wszystkim odwiedzają lokale strip-teasowe, do końca życia nie mogą odżałować wydanej na to waluty. Realizatorzy obiecują za to dramat psychologiczny, wystawiony jako wielkie widowisko. Nastawmy się więc raczej na teatr i muzykę, niż na kabaret.

Po pięknym przedstawieniu „Cosi fan tutte", Teatr Wielki powraca znów do opery klasycznej. Będzie to druga opera Mozarta — „Uprowadzenie z Seraju". Kierownictwo muzyczne obejmie Mieczysław Wojciechowski, reżyserii podjął się gość holenderski — Frans Boerlage, scenografii — Łucja Kossakowska.

Kolejną premierą będzie prawie w Polsce nie znana opera Pucciniego „Dziewczyna z Zachodu". Napisana została przez kompozytora w późnym okresie życia na zamówienie sceny nowojorskiej. Odbiega ona stylem od wcześniejszych dzieł Pucciniego, sięga do innej tematyki. Bohaterami dzieła są górnicy kalifornijscy, poszukiwacze złota, z końca ubiegłego stulecia. Premiera tego operowego westernu odbyła się w Nowym Jorku w 1910 roku, czołową partię śpiewał Caruso. Stronę muzyczną opery poprowadzi Zygmunt Latoszewski, reżyserię obejmie — Marek Okopiński.

Po „Dziewczynie z Zachodu" zobaczymy program baletowy, na który złożą się dwie pozycje: „Dafnis i Chloe" Ravela i „Szach Mat" Blissa lub „Symfonia fantastyczna" Berlioza. Będzie to pierwszy krok łódzkiego zespołu w kierunku tańca nowoczesnego. Kierownictwo muzyczne całości obejmie dyrygent gruziński Dżansug Kachidze.

Ostatnia premierą sezonu będzie musical Henryka Czyża „Białowłosa", dotychczas tylko raz wystawiony w Warszawie. Reżyserii i opracowania libretta podjęła się Danuta Baduszkowa, kierownictwo muzyczne obejmie kompozytor, którego renesans zainteresowania się Łodzią powitać należy z zadowoleniem. Czytelnik niniejszego, obok wiadomości o nowych pozycjach, znajdzie również, wśród realizatorów, nowe nazwiska krajowe i zagraniczne. Co — po raz drugi witamy z zadowoleniem. Kończąc optymistyczne te rozważania, wyraźmy nadzieję, ba niemal pewność, że z nie mniejszym zadowoleniem powitamy — to już po raz trzeci — wymienione wyżej premiery.

T. W.

Spektakle tygodnia

	Spektakli	Widzów	proc.
TEATR WIELKI			
— „Kniaź Igor"	1	735	60
— „Faust"	1	842	66
— „Królewna Śnieżka"	1	874	70
— „Orfeusz w piekle"	1	1260	100
NOWY			
— „Janosik-'	2	800	60
— „Księżyc świeci nieszczęśliwym"	1	400	60
— „Dziś do ciebie przyjść nie mogę"	1	600	86
NOWY: MAŁA SALA			
— „Teoria Einsteina"	2	260	65
— „Pelikan"	1	160	80
POWSZECHNY			
— „Lizystrata"	1	660	100
— „Wszyscy moi synowie"	3	1500	85
— „Ojcowie rodzą się w szafach"	2	1100	92
JARACZA			
— „Wszystko w ogrodzie"	2	880	86
7.15			
— „Grube ryby"	2	700	83
OPERETKA			
— „Miłość szejka"	7	5187	67
FILHARMONIA	2	1137	80

TP OBIEKTYW

W poszukiwaniu bohatera

Gdy ma się w ręku oręż oddziaływania tak potężny jak telewizja, trudno nie popróbować wykorzystać go na odcinku wychowania młodzieży. Jest kilka przyczyn, które predestynują telewizję na wielkiego wychowawcę.

Przede wszystkim atutem jej jest masowość, zakres docierania do społeczeństwa, a w tym także i do młodzieży. Dalsza cecha to duża sugestywność małego ekranu. Nie bez znaczenia jest ciągłość oddziaływania. Do kina czy teatru chodzi się sporadycznie, telewizja jest codziennym gościem w domu. I wreszcie nowoczesność tego środka przekazu, jego złożoność techniczna odpowiada duchowi cywilizacyjno - technicznej rewolucji, jaką przeżywa otaczający nas świat.

Może to i smutne, ale skurczyło się wyraźnie oddziaływanie na młodzież literatury. Minęły czasy, w których fikcyjne, intencjonalne twory, jakimi są postaci powieściowe, zaludniały wyobraźnie młodego człowieka, tworzyły dlań wzorce do naśladowania w życiu. W końcu XIX wieku rolę tę w stosunku do młodzieży spełniali Skrzetuscy, Kmicice, Wołodyjowscy, w okresie międzywojennym miejsce ich zajęli Judymowie, Barykowie, Olbromscy.

Dziś literatura nie spełnia tej roli dostarczyciela wzorców, Może dlatego, że weszliśmy w okres konkretu, któremu bardziej odpowiadają obrazy oglądane rzeczywiście, a nie te mgliste, rodzące się w wyobraźni. Literatura jest czytana, a przecież straciła coś ze swych sił kształtujących młode pokolenie.

Mówiono na ten temat ostatnio w czasie kolejnej dyskusji w ramach „Panoramy literackiej", w której uczestniczyli literaci i publicyści: Sokorski, Lovell Wasilewski, Brycht i Samsel. Może oddziaływanie literatury staje się dziś bardziej pośrednie, to znaczy, że spełnia ona rolę inspirującą wobec ekranu.

Nie brak ostatnio przykładów, że zekranizowana powieść zagarnia na pewien czas we władanie uczucia i myśli młodego pokolenia. Klasycznym przykładem jest adaptacja filmowo - telewizyjna powieści Przymanowskiego „Czterej pancerni i pies". Gdyby pozostała jedynie w formie książkowej, nigdy nie uzyskałaby takiej popularności i nie wywarłaby takiego wpływu na młodzież, jak to obserwowaliśmy i obserwujemy jeszcze.

A więc gdyby postaci Janka Kosa, Gustlika, Gregorego zachowały swą literacką bezcielesność, gdyby ożywały tylko w indywidualnej wyobraźni każdego czytelnika, by wieść efemeryczny żywot, nie miałyby szans stać się ulubieńcami młodzieży w tym stopniu, w jakim to się stało, gdy przyoblekły się w konkretne postacie aktorów-wykonawców.

Można to konstatować z pewnym żalem. Ekran likwiduje zindywidualizowany obraz bohatera, narzuca mu psycho-fizyczne cechy danego aktora, jedną z możliwych interpretacji postaci czyni interpretacją wszechobowiązującą. Odbywa się to wszystko kosztem wyobraźni, która ma ograniczone pole do działania. Niemniej jednak jest to faktem, z którym wypada się pogodzić.

Ekran nadaje także nowe życie bohaterom powieściowym, którzy skutecznie atakowali wyobraźnię czytelnika w przeszłości. Dzisiaj pan Michał, Baśka Wołodyjowska, Zagłoba, kojarzą się nieuchronnie z Łomnickim, Magdą Zawadzką i Pawlikowskim. A przecież blisko sto lat postaci te żyły w wyobraźni narodu bez pośrednictwa popularnych aktorów.

„Kolumbowie" Bratnego krócej czekali na swoje drugie, telewizyjne wcielenie. Ale oto jesteśmy świadkami, że postaci Zygmunta, Jurka, Kolumba, zrastają się na małym ekranie w jedno z osobowością, Englerta, Kowalskiego i Matałowskiego. Ci młodzi aktorzy wyciskają na bohaterach Bratnego piętno współczesności, przybliżając ich tym samym do młodzieży.

Są dostatecznie zwykłymi i codziennymi typami młodych ludzi (jak to stwierdził we wspomnianej „Panoramie Literackiej" W. Sokorski), by młodzież potraktowała ich jako swoich przedstawicieli. Są przy tym w takim stopniu zespoleni ze słuszną sprawą, że mogą stać się wzorcem moralnym dla młodego pokolenia.

I oto wracamy do punktu wyjścia naszych rozważań: telewizja ma wszelkie szanse, by stać się wielkim wychowawcą.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

„SKRADZIONE POCAŁUNKI" Francois Truffaut były pokazywane w czasie Konfrontacji 1969 roku, wchodzą więc na ekrany niejako opieczętowane znakiem wartości.

Truffaut zrealizował przed 10 laty film „400 batów", który z dystansu lat możemy uznać za jedną z najwybitniejszych pozycji francuskiej „nowej fali". Jednym z jej twórców był właśnie Truffaut.

Z bohaterem „400 batów", Antoinem Doinel spotkaliśmy się później w jednej z nowel „Miłości dwudziestolatków", a obecnie znów w „Skradzionych pocałunkach". Postać Antoine'a we wszystkich tych trzech filmach odtwarzał Jean Pierre Leaud (znany nam z filmu Skolimowskiego „Start").

Dzięki temu pomysłowi filmy te dają wizerunek dorastania bohatera, który, jak sam Truffaut twierdzi, obdarzony został przez niego rysami autobiograficznymi.

Kto pamięta „400 batów", klimat tego filmu o smutnym dzieciństwie, jego ostre nuty krytycyzmu wobec układów spoolecznych i obyczajowych, zaskoczony będzie „Skradzionymi pocałunkami". Ta obyczajowo - liryczna opowiastka, komediowa w tonie, poetycka w nastroju, niczym nie przypomina pierwszego filmu Truffauta. Właściwie, mając na uwadze postać bohatera, powinniśmy się cieszyć, że z małego smutnego, zbuntowanego Antoine'a wyrósł dwudziestoletni młodzieniec, któremu nie jest źle na świecie. Antoine w dalszym ciągu niezbyt się w nim mieści, bo jest trochę anachroniczny i bardzo romantyczny. Na tym polega jednak jego urok.

Zwolniony z wojska z powodu niesubordynacji, wraca do swego mieszkanka na Montmartrze i zaczyna szukać pracy. Nie jest to proste, gdyż Antoine nic nie umie. Perypetie z tego wynikające składają się na luźną kronikę losów Antoine'a w tym okresie jego życia. Gdy się z nim rozstaniemy w przededniu jego małżeństwa, nie wyda się nam doroślejszy. Dojrzałość życiowa nie jest równoznaczna z doświadczeniami miłosnymi.

Zamiarem Truffauta nie było przede wszystkim odtworzenie procesu dorastania, lecz próba studium osobowości bohatera, co przy pomocy J. P. Leauda uwieńczone zostało sukcesem. Jest w tym filmie jeszcze jedna znakomita rola — piękna Delfina Seyrig („Zeszłego roku w Marienbadzie", „Muriel") fascynuje nie tylko swą urodą i talentem aktorskim, ale umiejętnością przeobrażeń. Jak ona to robi, że w każdej swej nowej roli jest równie piękna i równie inna?

Uroki „Skradzionych pocałunków" płyną nie tylko z kreacji aktorskich i owego poetyckiego nastroju, w którym miesza się radość i smutek, lecz również z klimatu miasta, w którym żyją bohaterowie tego filmu. Paryż w filmie Truffauta jest niezwykle piękny. Nasuwa się tu refleksja, iż właściwie nie mieliśmy jeszcze filmu, w którym Warszawa jawiłaby się w całym swym pięknie. Chciałoby się tu zadać pytanie, które tkwi w tytule piosenki, którą śpiewa w „Skradzionych pocałunkach" Charles Trenet — „Co pozostaje z naszej miłości"?

* * *

Jeszcześmy nie ochłonęli z wrażeń, jakie dostarczył film „Romeo i Julia" F. Zeffirelliego, a już mamy okazję obejrzeć film, w którym znów powraca motyw tragicznej miłości młodych kochanków rozdzielonych nienawiścią ojców.

„CZERWONY PŁASZCZ", film, który powstał w koprodukcji duńsko-szwedzko-islandzkiej jest ekranizacją jednej z sag, opiewających czasy Wikingów. Choć trudno tu autorytatywnie głos zabrać i ograniczyć się można tylko do wrażenia, to przyznać trzeba, iż film ten w porównaniu z anglo - amerykańskimi ekranowymi wizjami dziejów Wikingów przemawia autentyzmem klimatu i dbałością o rekonstrukcję szczegółów natury obyczajowej i materialnej tamtej epoki.

Źródeł poetyki tego bardzo pięknego filmu szukać będziemy również w starych sagach skandynawskich, które nie tylko określiły powolny jego rytm, ale również zasadę kontrastu liryzmu i okrucieństwa, przyznać trzeba — niejednokrotnie szokującego.

Zasada kontrastu wyznacza całą dramaturgię tego filmu, w którym sekwencje pełne spokoju i łagodności zderzane są z partiami, których gwałtowny rytm wyznaczony zostaje wybuchami namiętności, uczuciami nienawiści i zemsty. Przebieg zdarzeń zmierzający nieuchronnie do tragicznego finału jest bowiem średniowieczną wersją motywu, który od szekspirowskich czasów zwiemy motywem Romea i Julii.

„Czerwony płaszcz", będąc ekranizacją spisanej w XII wieku sagi, jest jeszcze jednym dowodem wędrówki motywów, która to sprawa od dziesiątków lat pasjonuje antropologów kultury na całym świecie. Nas, widzów, najbardziej fascynuje w tym filmie jego niepowtarzalny w innych kulturach narodowych klimat, na który składają się postacie bohaterów, szczegóły obyczajowe, autentyzm zarówno sytuacji jak przedmiotów materialnych, a także niezwykłe piękno pejzaży islandzkiej wyspy.

Reżyserowi „Czerwonego płaszcza", Gabrielowi Axelowi udaje się przenieść nas na dwie godziny w świat nie tylko mało znany, ale również podporządkować nas konwencjom starej skandynawskiej literatury pięknie przełożonej na język obrazów.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

MUZEUM-FERMA

Ostatnio w Lisores (Calvados) otwarte zostało Muzeum Fernanda Legera, będące jakby filią wielkiego muzeum Legera w Biot.

Lisores, rodzinna wioska malarza w Normandii była zawsze droga jego sercu. Lubił tam przyjeżdżać i odpoczywać w tej cichej pełnej zieleni miejscowości, gdzie jego ojciec miał fermę hodowlaną. W dawnym spichrzu malarz urządził sobie pracownię. Obecnie w tymże spichrzu Nadia Leger wdowa po malarzu umieściła niektóre z obrazów Legera tworząc muzeum.

Uroczyste otwarcie tego nowego muzeum odbyło się w pierwszej połowie września b. r.

DON KICHOT W PEZENAS

Pewnego dnia na wąskich uliczkach miasteczka Pezenas w Langwedocji pojawił się na koniu don Kichot z La Manczy w towarzystwie swego wiernego sługi Sanczo Pansy. Za rycerzem i giermkiem jechał wóz, na którym dwu gitarzystów grało i śpiewało wesołą piosenkę, a za wozem posuwali się w tanecznym rytmie samby tancerze przy dźwiękach tamburynów. Tancerze wesoło wykrzykują słowa piosenki, klaszczą w dłonie, przyłącza się do nich tłum gapiów i cały ten dziwaczny pochód przemierza ulice miasteczka.

Przemyślny szlachcic don Kichot z La Manczy pojawiał się dwukrotnie na ulicach miasteczka, w dniach 21 i 22 sierpnia. Plastikowy to koń na którym jedzie rycerz, a on sam, jego giermek, Sanczo Pansa, śpiewający i tańczący młodzieńcy — to studenci szkoły dramatycznej wybrani przez Andre Crocqa, dyrektora Ośrodka Kulturalnego w Langwedocji.

Uliczne widowiska mają swą głęboką tradycję w Pezenas. To tu w roku 1655 w listopadzie trzydziestotrzyletni wówczas Molier wystawiał pod gołym niebem jedną ze swych sztuk.

Obecnie dyrektor Crocq odnawiając te tradycje zainicjował przedstawienie pod gołym niebem na ulicach i placach Pezenas, czternastu scen z dzieła Cervantesa „Przemyślny szlachcic don Kichot z La Manczy". Wesoły tłumek tancerzy postępujących za tragiczną postacią szlachetnego rycerza, podkreślać ma według koncepcji Crocqa osamotnienie don Kichota, marzyciela, człowieka, który natychmiast i własnymi siłami chciał bronić sprawiedliwości i tępić zło.

Pochodowi Don Kichota przez uliczki Pezenas towarzyszą śmiech i współczucie przechodniów. Różne są bowiem reakcje widzów. Ale o to właśnie chodziło inicjatorowi widowiska.

W STULECIE URODZIN A. I. KUPRINA

W jednym z ostatnich numerów „Litieraturnaja Gazieta" drukuje z okazji stulecia urodzin Kuprina trzy jego listy adresowane do Gorkiego oraz artykuł W. Afanasjewa o Kuprinie. Przypomnijmy pokrótce, że Aleksander Iwanowicz Kuprin (1870—1938) był znakomitym rosyjskim nowelistą. Najchętniej pisał opowiadania, opowieści, nowele choć do jego najbardziej znanych i cenionych utworów zalicza się powieść pt. „Pojedynek", której tematem jest koszarowe życie w carskiej Rosji, tępota i ciasnota poglądów kadry oficerskiej i rozpaczliwy los prostych żołnierzy. W ogóle Kuprin w swej twórczości malował cierpienia ubogich, bronił słabych. Napisał też m.in. piękne dzieło o miłości pt. „Bransoleta z granatu".

Ponadto do najciekawszych utworów Kuprina należą m.in. „Anatema", „Święte kłamstwo", „Jama".

W latach poprzedzających rewolucję 1905 roku zbliżył się do Gorkiego i kierowanego przez niego wydawnictwa „Znanije".

80 LAT AGATY CHRISTIE

W połowie września br. Agata Christie obchodziła 80-lecie urodzin. Pisarka wydaje obecnie swoją osiemdziesiątą książkę. Powieści Agaty Christie ukazują się przeciętnie dwa razy w roku i tłumaczone są na około sto trzydzieści języków. Czyta je pół miliarda ludzi. Od kilku lat sprzedaż jej utworów przynosi ponad dwa tysiące funtów tygodniowo, ale powieściopisarka twierdzi, że niewiele z tego ma, gdyż podatki jakie płaci zabierają jej prawie wszystko.

Jak wiadomo, detektywem występującym w jej powieściach jest Herkules Poirot rozwiązujący najbardziej zawiłe zagadki kryminalne. Ten genialny bohater powieści narodził się w roku 1926 w książce pt. „Morderstwo Rogera Ackroyda" i odtąd już stale występuje w twórczości Christie.

Do najbardziej głośnych utworów angielskiej pisarki należą m. in.: „Cień na zasłonie", „Tajemnica niebieskiego pociągu", „Dziesięciu murzynków".

Co wpływa na popularność książek Agaty Christie? Niewątpliwie zręczna kompozycja powieściowa, logika w rozwiązywaniu intrygi, celność psychologiczna w przedstawieniu bohaterów oraz poczucie humoru autorki.

Pisarka po drugiej wojnie światowej adaptowała swoje dzieła dla teatru. Powstało też wiele filmów na podstawie jej powieści.

Najnowsza powieść Agaty Christie ma tytuł: „Pasażer do Frankfurtu".

FELIX VALLOTTON

Monachijski miesięcznik poświęcony sztuce i architekturze „Die Kunst urd das schone Heim" w ostatnim numerze w dziale „Mistrzowie grafiki" przypomniał postać i twórczość Felixa Vallottona.

„Chyba żaden inny artysta nie utrwalił w tak wierny typowy sposób Francji na przełomie wieków. Jego obrazy i drzeworyty zachowały dla nas pamięć całej galerii typów Paryża tamtych czasów" — pisał o Vallottonie Bernard Dorival konserwator Narodowego Muzeum Sztuki Współczesnej w Paryżu i dodawał, że w drzeworytach Vallottona, zachwycających i gorzkich zarazem sportretowana została cała Francja 1900 roku.

Felix-Edouard Vallotton urodził się w Lozannie w Szwajcarii w roku 1865. Twierdził, że jego rodzina jest pochodzenia francuskiego i sam uważał się za Francuza. Mając lat 17 Felix przybywa do Paryża by studiować malarstwo. Pierwsze lata pobytu w stolicy Francji są dla niego bardzo ciężkie. Żyje bez przyjaciół i w nędzy, która podkopuje jego zdrowie. Ale już w trzy lata po przyjeździe do Paryża Vallotton bierze udział w wystawach malarskich, choć jego obrazy nie zwracają większej uwagi. Studiuje uporczywie dalej. Zaczyna interesować się rytownictwem, ale dopiero w roku 1891 wykona pierwszy swój drzeworyt. Po latach stanie się prawdziwym mistrzem w tej dziedzinie sztuki.

W roku 1892 w życiu Vallottona następują zasadnicze zmiany. Ten samotny i ponury z usposobienia, brodaty malarz poznaje piękną modelkę Helenę Chatenay, która zostaje jego przyjaciółką i na jakiś czas towarzyszką życia. Dzięki niej, zdaje się, Vallotton przystosowuje się wreszcie do życia paryskiego, zdobywa znajomości i przyjaźnie. Wkrótce zaczyna odnosić pierwsze sukcesy twórcze. Ilustruje książki, pracuje dla czasopism. Zbliżywszy się do grupy Nabistów uczestniczy w ich czwartej wystawie. Przypomnijmy, że grupa malarzy Nabis powstała około 1890 r. Jej inicjatorem i teoretykiem był Maurice Denis. Krytyczni w stosunku do impresjonizmu Nabiści dążyli do uproszczenia linii i barwnej plamy. Ich sztuka była głównie dekoracyjną nawiązywali w swej twórczości do drzeworytnictwa japońskiego, korzystali też z doświadczeń malarskich Cezanne'a i Gauguina. Pragnąc, aby ich sztuka docierała do wszystkich, robili dekoracje teatralne, współpracowali z czasopismami, ilustrowali książki, malowali dekoracje ścienne.

Felix Vallotton — „Trzy Kąpiące się", drzeworyt

W roku 1899 Vallotton poślubia madame Rodrigues-Henriques, córkę marszanda Bernheim-Jeune. Wkrótce otrzymuje upragnione obywatelstwo francuskie.

Niezmiernie teraz aktywny twórczo Felix Vallotton bierze udział w licznych wystawach, jest stałym współpracownikiem pisma „La Revue Blanche" będącego organem Nabistów. Rysuje dla satyrycznego czasopisma L'Assiete au Beurre". Nie ogranicza się jedynie do działalności plastycznej. Pisze, dość zresztą makabryczną, jednoaktówkę dla teatru „Grand Guignol" pt. „L'Homme fort". Chwyta następnie śmielej za pióro i pisze kilka powieści z których najlepszą jest „La Vie Meurtriere".

W roku 1910 odbywa się pierwsza wystawa Vallottona w Zurychu. Dopiero w dziesięć lat potem dobija się wystawy w rodzinnej Lozannie. Ale jego siły są już na wyczerpaniu. Jeszcze odbywa kilka podróży, ale jego życie dobiega końca. Umiera w grudniu 1925 roku.

Pozostawił po sobie bogatą i oryginalną twórczość. A drzeworyty Vallottona dają nam znakomite świadectwo czasów, w których żył.

Felix Vallotton — „Piękna szpilka", drzeworyt

Od niedzieli do niedzieli

„PINOKIO" MA 25 LAT

DZIECIĘCE LISTY — CO PISZE OBRAZCOW? — 100 PREMIER I 3,5 MILIONA WIDZÓW — LEKCJA CZYTANIA KULTURY — „MI SIĘ PODOBAŁ KOŃ" POD PATRONATEM DREWNIANEJ KUKIEŁKI

„Kochany Pinokio — Pietrek bardzo mi się podobał odważne tygrysy też i małpki i słoń, dziki koń i żołnierze oraz indianie" — pisze do teatru Piotruś Zajączkowski. Natomiast Ewa Murek stwierdza, że „wszystko bardzo mi się podobało, a najwięcej misie". Swoją aprobatę uzasadnia Jarek Kaczmarek, pisząc: „przedstawienie bardzo mi się podobało, bo piesek ugryzł czarownicę w nos".

Któryż to teatr ma widownię tak wdzięcznie reagującą, tak spontanicznie przeżywającą akcję! Oczywiście — tylko teatr dla dzieci. Łódzki „Pinokio" ma już 25 lat i od ćwierć wieku opowiada dzieciom historie piękne i pouczające, straszne i wzruszające. Pierwsi widzowie „Pinokia" — ci sprzed 25 lat — prowadzą tu dziś swoje dzieci — zmienia się repertuar i aktorzy, ale dziecięca widownia wierna jest swojemu teatrowi.

Aprobata widza jest dla każdego teatru sprawą najważniejszą — nic więc dziwnego, że jubileuszowy program „Pinokia" wypełniony jest po brzegi listami dzieci — ich opiniami na temat oglądanych spektakli. Ale przecież ważne są i te inne opinie — ważna jest aprobata ludzi, którzy w świecie teatrów lalkowych coś znaczą. Pisze Sergiusz Obrazcow:

„Sztuka" O czym mówią pory roku" grana w waszym teatrze podobała mi się niewątpliwie. To był bardzo, bardzo potrzebny spektakl. Zrodziła go miłość do polskiego ludu, szacunek dla jego kultury. Odwołując się do serca dziecka — do jego duszy — teatr daje dziecku podstawy wychowania humanistycznego. Nie lubimy, kiedy dużo i górnolotnie mówi się o „wychowaniu estetycznym". Wasze przedstawienie jest właśnie wychowaniem estetycznym nie poprzez słowa, lecz poprzez działanie".

Pisze inny wybitny twórca i reżyser teatrów lalkowych — Francis Purnelle z Belgii: „Spędziłem w Polsce dziewięć miesięcy i widziałem wiele przedstawień o podobnym charakterze. Żadne z nich nie może konkurować z Twoim. Oczarowany od początku — do końca mego pobytu nie zmieniłem zdania: w tym spektaklu tkwi całe piękno, cała uroda Twojej Ojczyzny — Polski".

Słowa te — pełne uznania i zachwytu — można odnieść nie tylko do owego konkretnego spektaklu: „O czym mówią pory roku". Słowa te równie dobrze pasują do dziewięćdziesięciu paru sztuk, jakie „Pinokio" wystawił na swej scenie — od „Bajowych Bajeczek" Kownackiej w 1945 roku — po „Pierwszą przygodę Pifa", „Wesołego Króliczka" czy „Gdańską Legendę" z lat ostatnich.

Blisko sto premier — około 13 tysięcy przedstawień — ponad 3,5 miliona widzów. Te cyfry są wymowne — w nich mieści się ogrom i rola dokonań tego teatru, który swego widza bawi ale i uczy.

Dwadzieścia pięć lat... W życiu teatru to początek jego historii. W życiu ludzi tworzących teatr czas urzeczywistnienia marzeń — mówi Marta Janic, dyrektor i kierownik artystyczny „Pinokia". I mówi jeszcze Marta Janic, że moc trwania daje entuzjazm tworzenia teatru dla dzieci, wiara w słuszność podjętej pracy i osiąganie coraz większego uznania w społeczeństwie.

Teatr lalkowy jest bowiem artystyczną lekcją czytania kultury, potrzebną dla rozwoju myślenia i fantazji dziecięcej, dla tworzenia nawyków obcowania ze Sztuką. Jako „akademia poznania widza" jest nieodzownym składnikiem wychowania teatralnego.

A wychowanie widza, tworzenie nawyków, zaszczepianie teatralnego bakcyla zaczyna się właśnie tak jak to zobrazowano w jubileuszowym programie... Zaczyna się od prostych i nieporadnych listów — recenzji — „mi się podobał koń", albo „najlepiej podobało mi się jak żołnierze przyprowadzili armaty i wystrzelili". Ale przecież „Pinokio" inspiruje także prace magisterskie, jak np. „Polska komedia dziecięca w pierwszym łódzkim teatrze lalek w latach 1945—1960" mgr I. Kautz, albo „Pinokio — teatr zaangażowany" mgr Z. Partyka-Poetschke, czy kilka prac dyplomowych w piotrkowskim Studium Nauczycielskim.

Najważniejsze są jednak te dziecięce listy i dziecięce reakcje, bo to przecież dla nich, dla dzieci, stworzono ten teatr. Dla nich macha igłą krawiec Niteczka i dla nich bryka na scenie Zaklęty Rumak, dla nich opowieść zza siedmiu gór i wędrówki Guliwera i złoto króla Megamona i wszystkie te historie o niebieskich migdałach... Dla tego małego widza z roześmianą i zasłuchaną buzią.

Dwadzieścia pięć lat wędruje po świecie dziecięcej wyobraźni drewniana kukiełka z bajki — Pinokio. Opowiada kolorowe baśnie i legendy, uczy wrażliwości na piękno, abecadła muzyki i poezji. Łódzki „Pinokio" jest teatrem wielkich zadań i wielkiej roli społecznej, choć nie patronują mu Kordiany i Hamlety tylko bajkowa, drewniana kukiełka.

JERZY WIDOK

Bez strachu

Sen o drodze

Śniła mi się droga i głos. Szedłem przez nieskończone przestrzenie snu, bezbarwne i bezświetlne, ale przecież widzialne — może dotykalne. Głos — trudno mi powiedzieć, czy był to głos towarzysza drogi — doradzał mi stąpać w taki, a nie inny sposób — szedłem i droga moja nie miała końca, co więcej wcale nie oczekiwałem końca, celu drogi, cel nie istniał, lub był nieistotnym, drobnym celem. Ważny był sposób stąpania i wciągania powietrza. W czasie snu miałem zamknięte usta. Głos mówił i żałuję, że natychmiast po przebudzeniu nie zapisałem mówionych słów, żałuję, że nie zapisałem snu, notując każdy krok. Kiedy idę w stanie jawy, kiedy idę fizycznie, psychologicznie, socjologicznie i biologicznie, kiedy idę rzeczywiście, prawdziwie, myślę o celu, o wielkim celu, lub o kilku małych celach. Oto idę, aby zapłacić należność za gaz, oto idę, aby kupić torebkę cukierków... Będę sobie gotował na gazie, będę jadł smaczne cukierki — to cele i sprawy jawy, ale tamte zapomniane sprawy snu... Cóż to za droga bez celu, droga, której czasu nie mogę zmierzyć zegarkiem, o której nie wiem czy była równa czy też wyboista? Gdyby każdy z nas miał na nocnym stoliku, czy krzesełku koło łóżka brulion i ołówek i zaraz po przebudzeniu zapisywał sny, mógłby się przekonać (każdy z nas), że śni bardzo wiele, że śni każdej nocy. Sny notowane, dobrze pamiętane wrastałyby w jawę, wzbogacając ją, pomagając w rozwiązaniu zadań jawy, a nade wszystko poszerzając stan jawy przedłużyłyby życie. Oto żyję siedemdziesiąt lat, z tego dwadzieścia przypada na sny. Dwadzieścia czarnych, pustych lat do zapamiętania, do przeżycia. Dlaczego tracimy dokonywane w czasie snu podróże, łowy, przeżywane w snach baśnie, spożywane wtedy jadło, odczuwaną miłość... Te rzeczy giną w naturze, trwonimy je z bytu, z przypisanego nam życia — kto śni ten także żyje... Trzeba się upomnieć o należne nam sny, trzeba przeplatać je świadomością, a świadomość snami. Jeżeli niedoceniane, pogardzane sny dopomagają nam niekiedy w problemach jawy (nie da się zaprzeczyć, że ten i ów rozwiązał w czasie snu zadanie matematyczne, wyśnił miejsce, w którym w czasie snu zgubił cenny przedmiot, wyśnił brakujący motyw muzyczny), to wydaje się, że stany jawy w znacznie silniejszym stopniu dopomagą w problemach snu. Wyczuwamy, że leżą tu klucze do niedocenionej terapii snami, do niedocenionego wzbogacenia. Co do mnie — kładę na krzesełku koło łóżka brulion i ołówek, będę starannie notował własne sny, będę także notował sny innych, o których inni mi opowiedzą. Być może opowiedziany i zapisany sen pozwoli mi poznać człowieka lepiej niż opowiedziana i zapisana jawa. Wracam do mego snu o drodze bez końca — zostałem w tym śnie zdefiniowany, to ja jestem tą drogą...

BERNARD SZTAJNERT

JOHN MARSH

Samobójstwo

— Brakuje jednego zdjęcia, Jim — zauważył Frederick Mercer.

— Jakiego? — zapytał Edwardson niezadowolony. — Zdaje się, że mamy ich dosyć: aula sądowa, słynni zbrodniarze, cela śmierci. Przecież to nie jest traktat kryminologiczny.

— Słusznie. Lecz powinienes dołączyć jeszcze zdjęcie skazańca na szubienicy. Napisałeś bardzo przekonywa jący artykuł na temat zniesienia kary śmierci, a jeżeli wśród fotografii czy telnicy zobaczą człowieka, który za chwilę ma być powieszony, osiągniesz niemały sukces.

— Ale gdzie znajdę takie zdjęcie?

— Rzeczywiście, trudna sprawa, nie myślmy już o tym. Chyba że...

— Co chciałeś powiedzieć? — zainteresował się Edwardson.

— Moglibyśmy sami sfingować taką scenę. Na przykład — jeden z nas sta nie na skrzynce z pętlą założoną na szyi...

— Ależ...

— To będzie bardzo proste. Sznur możemy przymocować do tamtej belki. — Mercer wskazał ręką na sufit szopy, w której pracowali.

Edwardson przytaknął, oczy mu błyszczały zadowoleniem. — Dobry po mysł, ale potrzebny będzie jeszcze kaptur.

— Zrobimy go sami, Jim. Cieszę się, że mój pomysł urozmaici twój artykuł.

— Świetnie, ja mogę odegrać rolę skazanego. Przecież fotografem ty jesteś. Kiedy zrobimy zdjęcie? Może ju tro?

— Dobrze, o tej samej godzinie, jeżeli ci to odpowiada. — Mercer odetchnął z ulgą.

Edwardson wziął maszynopis artyku łu i skierował się do kasy ogniotrwałej stojącej przy ścianie.

— Tylko Peggy wie, co przygotowuję, a to jest żona, która umie dotrzymywać tajemnicy. Nikt nie może o tym wiedzieć, dopóki całkowicie nie wykończę rozprawy.

— Co Peggy myśli na ten temat? — zapytał Mercer zapalając papierosa i podziwiając głupotę Jima, który nie zdawał sobie sprawy, że ukochana żo na zdradzała go z najlepszym przyjacielem.

— Zupełnie się tym zagadnieniem nie interesuje — odpowiedział Jim.

Gdy znaleźli się na drodze, która prowadziła do domu Edwardsonów, Jim zatrzymał się i krzyknął zdenerwowany: — Patrz! Z dnia na dzień jest gorzej! Zawiadamiałem już kilka razy policję, lecz gwiżdżą sobie na moje reklamacje.

Mercer wiedział, że niektórzy szoferzy lubili parkować samochody na drodze koło domu, wywołując wściekłość Edwardsona.

Następnego dnia Mercer zjawił się u przyjaciela o umówionej godzinie. Pisarz już przygotował skrzynię przykrytą płótnem, na ścianie zawiesił białe prześcieradło. Gruby sznur zwisał z belki sufitu.

Edwardson uśmiechając się wskoczył na miniaturowy szafot. Mercer ustawił aparat fotograficzny, wypróbo wał flesz. Potem zbliżył się do Jima.

— Oto kaptur — rzekł, wyjmując paczkę z teczki. — Zrobiłem go wczo raj wieczorem.

Założył najpierw pętlę na szyję przy jaciela, następnie wsunął mu na głowę kaptur i okręcił sznurem.

— Ostrożnie, Fred — stęknął Jim. — Trudno mi oddychać!

Mercer zszedł ze skrzyni. Przez chwi lę przyglądał się człowiekowi, któremu ukradł żonę. Potem ze złym błyskiem w oczach kopnął platformę i wy sunął ją spod nóg Edwardsona. Mercer nie tracił czasu. Szybko założył rękawiczki, podszedł do Jima i wyjął mu z kieszeni spodni klucz od kasy. Otworzył ją, zabrał maszynopis, zamknął kasę i włożył klucz na dawne miejsce.

Zdjął kaptur z głowy zmarłego, usu nął ze ściany prześcieradło i płótno ze skrzyni. Kaptur, maszynopis i aparat schował do swej teczki. Zatrzymał się jeszcze na chwilę i przyglądał się scenie.

Wszystko teraz tak wyglądało, jakby Edwardson sam założył sznur na szyję i usunął skrzynię spod nóg. — Niewątpliwy wypadek samobójstwa, nikt nie będzie wątpił — myślał mor derca.

Nikt go nie widział. Kilkanaście minut później był w swoim mieszkaniu położonym na drugim krańcu miasta.

Teraz wszystko pójdzie jak w zegarku. Peggy, powróciwszy do domu, odczeka pół godziny, a potem uda się do laboratorium w szopie, aby zobaczyć, dlaczego jej bogaty małżonek nie przychodzi na obiad. Gdy wykryje zwłoki, natychmiast zatelefonuje do policji.

Odbędzie się pogrzeb, niedługo wszystko ucichnie. Po upływie odpowiedniego czasu, on, Frederick Mercer, oświadczy się pięknej wdowie swego przyjaciela i poślubi ją. Naturalnie pieniądze Edwardsona bardzo się przydadzą.

Tak myśląc Mercer zaczął się przygotowywać do spalenia rękawiczek i maszynopisu. Gdyby policja znalazła artykuł z tymi wszystkimi fotografia-

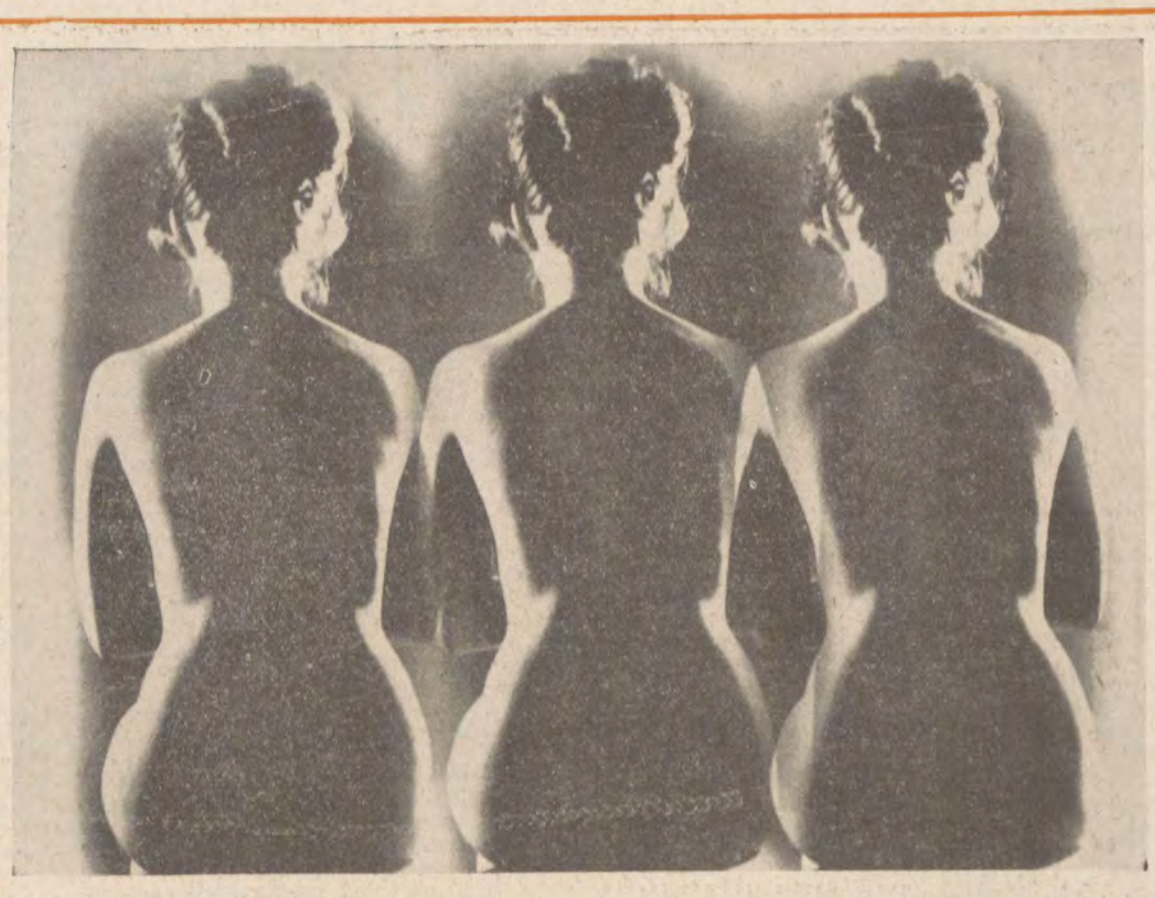

Fot. G. Puciato

mi, które sam zrobił, mogłaby coś wywęszyć.

Nagle zorientował się, że przy jednej z rękawiczek brakuje guzika. Zdrętwiał z przerażenia. Guzik był, kiedy zakładał rękawiczki. Co się z nim stało?

Przypomniał sobie, że włożył rękę do kieszeni zmarłego, żeby wyciągnąć klucz od kasy pancernej. Ależ tak! Na pewno guzik oderwał się i został w kieszeni Edwardsona. Może by policja nie robiła z tego problemu, ale zawsze istniała obawa...

Zastanawiał się, jak odzyskać guzik. Nie było już czasu, żeby udać się do domu zamordowanego. Za pięć minut wejdzie Peggy do szopy, aby poprosić męża na obiad, tak jak się umówili.

Schwycił słuchawkę telefonu i nakręcił dobrze znany numer. Odetchnął z ulgą, gdy usłyszał głos Peggy.

— Czy wezwałaś już policję? Nie? Ach jak dobrze! Stała się straszna rzecz, Peggy. Oderwał mi się guzik od rękawiczki. Powinien być w kieszeni spodni Jima... Tak, gdy wyjmowałem klucz od kasy... Nie trać głowy, kochanie! Zabierz guzik, a potem zadzwoń do policji... Peggy! Bądź spokojna, na miłość boską! Nie możemy pozwolić sobie teraz na jakieś pomyłki!

Mercer drżał ze zdenerwowania, gdy odkładał słuchawkę. Peggy przyrzekła mu, iż natychmiast zadzwoni, czy znalazła guzik. Jeszcze przed telefonem do policji... Czekał...

Peggy nie zadzwoniła.

Pół godziny później usłyszał pukanie do drzwi. Poszedł otworzyć. Przed nim stał mężczyzna w cywilnym ubraniu, a dalej policjant w uniformie.

— Czy pan Frederick Mercer? Proszę iść ze mną na komendę policji.

— Ależ... Nie rozumiem, o co panu chodzi!

— Pan James Edwardson został powieszony w szopie, w której zwykle pracował.

— Jim Edwardson? To straszne! Popełnił samobójstwo! Ale dlaczego to zrobił?

— To nie jest samobójstwo, panie Mercer. Wiemy, że popełniono zbrodnię i pan też dobrze o tym wie.

Przerażony Mercer nie zdołał wymówić ani słowa w swej obronie. Sły szał zimny, spokojny głos inspektora, który opowiedział co zaszło przed kil kunastoma minutami. Policjant, pukając na próżno do drzwi domu Jamesa Edwardsona, udał się do szopy. Zajrzał najpierw przez okno i zobaczył zwłoki Edwardsona wiszące u sufitu. Obok stała jego żona i szukała czegoś w kieszeni zmarłego męża. Agent przez kilkanaście sekund obserwował tę scenę, nim otworzył drzwi szopy. Postępowanie pani Edwardson wydało mu się bardzo podejrzane.

Wreszcie wszedł do szopy. Kobieta na widok policjanta przeraziła się i natychmiast oświadczyła, że nie ma nic wspólnego z zabójstwem. Agent przywołał patrol policyjny, który zabrał panią Edwardson.

W komendzie policji Peggy zasypana pytaniami przez funkcjonariuszy wyznała całą prawdę i opowiedziała przebieg morderstwa, w którym głów ną rolę odegrał Mercer.

— Jest pan oskarżony o dokonanie zabójstwa z premedytacją, panie Mer cer — zakończył inspektor.

— Ale co o tej godzinie robił tam policjant? — zapytał Mercer zdziwiony.

— Pan Edwardson skarżył się, że niektóre osoby parkują samochody na drodze prowadzącej do jego domu. Dlatego wysłaliśmy naszego pracownika, aby sprawdził to na miejscu.

Frederick Mercer został formalnie oskarżony o zabójstwo przyjaciela i zamknięty w celi więziennej.

Rzucił się ciężko na pryczę i przymknął oczy. Czuł straszliwy ból głowy. Niespokojnie przewracał się z boku na bok. Nagle usłyszał jakiś cichy brzęk na podłodze.

W słabym świetle więziennej lampki dojrzał to co upadło. Przyglądał się zafascynowany, nieruchomy, z rękoma zwisającymi bezwładnie.

Guzik!... Wypadł mu z kieszeni spodni...

OPRAC. A. S.

Lewym okiem

CO SIĘ PAN MARTWI!

Urzędnik pewnego zjednoczenia otrzymał z wysokiego szczebla resortowego dalekopisowe polecenie, brzmiące jak następuje:

„Podać natychmiast liczbę pracowników waszego przemysłu, których w dniu 1 stycznia bo lały zęby podpis nieczytelny".

Urzędnik zszedł natychmiast piętro niżej i wystukał na dalekopisie odpowiedź:

„Dwieście dwadzieścia dziewięć". Był to bar dzo dobry urzędnik i na pewno zajdzie wysoko. Liczbę oczywiście wymyślił idąc po schodach. Nie mąci mu to pogody ducha.

To samo polecenie otrzymał urzędnik w dru gim zjednoczeniu. Zdenerwował się ździebko, bo akurat miał wielu interesantów z terenu w pilnych sprawach, ale odsunął ich energicznym ruchem ręki, zszedł piętro niżej i podyktował dalekopis, adresowany do wszystkich podległych przedsiębiorstw:

„Podać natychmiast liczbę pracowników wa szego zakładu których w dniu 1 stycznia bolały zęby sprawa bardzo ważna spóźnienia nie będą tolerowane".

Następnego dnia dzwoniło po Polsce kilkadzie siąt telefonów, zapytań, wymyślań i pogróżek. „Ja wam na premię wejdę!" krzyczało zjednocze nie. — „Skąd mam wziąć takie dane?" — wrze szczał spod Przemyśla do Łodzi zdenerwowany facet. — „Nic mnie to nie obchodzi!" — wyja śniła uprzejmie władza. Z Koszalinem nie można było dostać połączenia, Białystok przerywał. Cały odnośny wydział zjednoczenia miał zabawę na trzy dni, odsunięci interesanci cze kali w hotelach. Wreszcie urzędnik spisał otrzymane cyfry na czysto, podsumował i przekazał resortowi. Był to dobry urzędnik, miał na wszystko podkładki. Trochę się tylko naraził re sortowi rozciągnięciem terminu „natychmiast" na całe trzy dni. Wysoko nie zajdzie, może do naczelnika.

To samo polecenie otrzymał urzędnik w trze cim zjednoczeniu. Zaklął kilka razy, zostawił nie podpisaną pocztę i poszedł do swojego dyrektora. — „Przecież takich danych nie ma w żadnych sprawozdaniach!" — „Co się pan martwi, zapytaj pan zakłady. Muszą nadesłać dane. Telegraficznie".

— „Ale w zakładach też tego nie ma. W żadnej ewidencji. Zębów nie prowadzimy!" — bronił się urzędnik, zawracając niepotrzebnie głowę dyrektorowi. To był zły urzędnik, zwłaszcza że śmiał zapytać — do czego to właściwie ma być potrzebne? Przecież dyrektor tego nie mógł wiedzieć, a nawet niewykluczone, że nikt nigdzie tego nie wiedział. — Nie ma co, szkoda czasu, nadaj pan teleksy, depesze, błyskawiczne — co pan chce. Oczywiście w ramach limitu rozmów międzymiastowych. Dziękuję.

Wrócił urzędnik do swego wydziału, dopił zimnej herbaty, odsunął jeszcze dalej nie podpisaną pocztę i dalej — jak w zjednoczeniu drugim. Zły urzędnik. Stracił niepotrzebnie trzy dni. Dyrektora się przecież szybciej nie dopad nie.

To samo polecenie otrzymał urzędnik w czwartym zjednoczeniu. Zamknął się w gabinecie i zaczął myśleć.

Na studiach uczono go, że naczelnym kryterium każdej decyzji, każdego działania, są trzy pytania: „po co? co? jak? Najpierw trzeba wiedzieć, po co się importuje maszynę, a potem ją importować, nigdy na odwrót. Więc — po co komu informacje o bólu zębów sprzed wielu miesięcy?

Na studiach uczono go także, że w zarządzaniu i administracji nie liczy się absolutnie nic, na co nie ma pisemnego dokumentu. Co to znaczy „bolały zęby"? Jaki może być na to dokument? Bez dokumentu nic nie mogło boleć. Prawda: zwolnienie lekarskie z pracy z powodu bólu zębów. Na liście chorób ból zębów ma jakiś tam numer statystyczny. Trzeba więc polecić wydziałom personalnym wszystkich zakładów, żeby wyszukały w archiwach, kto w dniu 1 stycznia był „na zwolnieniu" z powołaniem na ten właśnie numer statystyczny. Jaki numer?

Urzędnik stracił dwa dni na dotarcie do odnośnych źródeł. Okazało się, że ból zębów nie ma numeru, mają natomiast różne zapalenia okostnej, podkostnej, nadkostnej, śluzówki, dziąsła, języka, resekcje, wiwisekcje, replantacje. Co tu uwzględnić, co pominąć? Gdzie się kończy ból zęba, a zaczyna ból dziąsła? Poza tym 1 stycznia było święto i nikt nie miał zwolnienia. Oczywiście, trzeba będzie zwrócić się do resortu po dodatkowe wyjaśnienia. Czy następnie sporządzić zestawienie zbiorcze z podziałem na umysłowych i fizycznych? Na grupy uposażenia? Na płci? Według wieku? Na kły, trzonowe i siekacze?

Urzędnik przygotował wyczerpujące pismo i złożył do podpisu. Był to beznadziejny urzędnik. Biurokrata powinien działać a nie myśleć. Działanie biurokraty polega na wypełnianiu (wszystko jedno czym) formularzy i wykonywaniu (wszystko jedno jakich) poleceń. Ten urzędnik nigdy do niczego nie dojdzie.

Jak widzimy — tylko pierwszy przypadek jako wszechstronnie zorientowany rokuje duże nadzieje. Jesteśmy pewni, że już za rok będzie siedział w resorcie i wydawał takie właśnie polecenia. Za niewykonanie „wejdzie na premię".

ĆWIEK

Redaguje zespół. Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 11 Zam. 1929. H-4.